NA STR. 7-ej DRUGI ROZDZIAŁ „ABC TOMIZMU"

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO KULTURALNY

ROK III Nr 36/115 Londyn, dnia 4 września 1949 CENA 9 d.

PAPIEŻ I POLSKA

W ROKU 1864 pisał Charles de Montalembert, wówczas leader katolików Europy Zachodniej: „Sumienie publiczne, żal, współczucie, wdzięczność za doznane usługi — nie umiały nic innego uczynić jak zamknąć się w zapomnieniu i w milczeniu, gdy chodzi o Polskę. Na darmo Polska wykazywała przed naszymi oczyma pamięć swych usług i swych tytułów do naszej solidarności, na darmo oglądaliśmy jej rany i jej bolesne niepokoje — tej Polski, która była przez tak długie stulecia krwawym szańcem obronnym Europy.

Nic nie skutkowało. Nic nie mogło przemóc nieludzkiej nieuwagi, bezwstydnej lekkomyślności, niewzruszonej obojętności, krótkowzrocznej i zatwardziałej niezapobiegliwości Europy współczesnej. Nie chce ona nawet, by odzywano się do niej na ten temat tchnący znudzeniem i obrzucony potępieniem. Europa chce o Polsce zapomnieć, wygnać ją z pamięci i myśli, odwrócić od niej swe oczy, obrzękłe znużeniem nabranym w pogoni za zyskiem i przyjemnostkami. Sprawa jest pogrzebana. „Times" odwołał swych korespondentów, zapadła kurtyna. Mówmy o czym innym.

Najbardziej ogarnięci współczuciem, najszlachetniejsi, najbardziej ofiarni czynią jak Ofar, która oddaliła się płacząc, by nie widzieć konania swego syna na pustyni, dyszącej męką pragnienia.

Ale oto z pośrodka tego mroźnego milczenia, tej powszechnej obojętności, podniósł się głos, głos jeden jedyny, aby odpowiedzieć na krzyk rozpaczy konającej Polski. Jest to Głos Wiary, Głos łkający wzruszeniem, pełen oburzenia, Głos nieśmiertelnego znaczenia. Ten, który pozostaje zawsze w oczach wszystkich, przyjaciół czy wrogów, wiernych czy bezbożników, najwyższym uosobieniem religii na świecie, ten właśnie przemówił! Zastępca Jezusa Chrystusa, Syna Bożego, co umarł na krzyżu dla ludzi, ten przemówił w obronie narodu rozkrzyżowanego. Trysnęła potężna przemowa, trysnęła potokiem rwącym i obfitym z głębi szlachetnego serca Piusa IX, serca człowieka i serca pasterza, w którym zawrzał gniew oburzenia razem ze współczuciem litości.

Oczywiście! Nie jest to miłe i łatwe zadanie być w czasach dzisiejszych obrońcą i adwokatem sprawy katolickiej. Trzeba być przygotowanym na wszystkie zasmucenia, trzeba się nie tylko spodziewać napaści i zniewag z zewnątrz, ale i nędzy i ciemności wewnętrznych. Mali czy wielcy, wszyscyśmy na tym polu wystawieni na zawody, na przegrane, na wybiegi i odstępstwa, na chwile zniechęcenia, na smutkiem przejmujące odkrycia, na zaćmienia, które są losem równie dobrze najskromniejszego z szeregowych, jak też najwielebniejszego przedstawiciela prawdy. Lecz również od czasu do czasu, gdy prawda, gdy sprawiedliwość zajaśnieje na chwilę, jak błyskawica w nocy, zapożyczając swej siły, mocy i władzy nadprzyrodzonej ze źródeł religii, wówczas jakaż to nieporównana radość zapala się na chwilę w duszy wiernej! Jakaż ekstaza wdzięczności ogarnia chrześcijan! Nie wiem doprawdy, co potężny Głos Piusa IX wzywoli za uczucia w sercu Polaków wśród cieni ich męki, ale ja, ich stary przyjaciel, wyznać muszę, żem zadrżał ze szczęścia i z podziwu, tak, że nie mogę oprzeć się chęci podzielenia się swym odczuciem z tymi, którzy myślą jak ja o sprawiedliwości i o świętości sprawy polskiej.

W tej chwili dziejów można śmiało wyznać, że **istnieją tylko dwie prawdziwe wielkie rzeczy w Europie**, obie uciemiężone: Papież i Polska.

Ta nieporównana Polska wciąż jeszcze stoi żywa! Wbrew tylu dopustom i tylu katastrofom, pomimo przegranych i egzekucji codziennych, naprzekór obojętności i opuszczeniu, nic jej nie pozbawia odwagi, nic jej w śmierć nie wtłacza. Walka trwa jeszcze i oto już jakimś cudem żywotności przetrwała ona dwa razy dłużej niż w 1830 i 1831 latach. A jednak wówczas powstanie narodowe mogło się opierać na posiadaniu stolicy, na administracji zorganizowanej, a nade wszystko na wojsku regularnym o sile czterdziestu tysięcy ludzi, zachwycająco zdyscyplinowanych i prowadzonych przez słynnych weteranów wielkich wypraw pierwszego cesarstwa, podczas gdy dzisiaj i od osiemnastu miesięcy powstanie nie ma doprawdy gdzie głowy skłonić. Nie mogło ono wydrzeć z rąk wroga ani jednego ważniejszego miasta. Lasy i moczary są jego jedynymi fortecami. Nie posiada ono innej armii, jak tylko partyzanckie oddziały wciąż dziesiątkowane, rozproszone, niweczone, lecz zawsze znów powstające i zawsze niezłomne.

Powstanie żywi się codziennią strawą najbardziej bohaterskich ofiar i ofiarności najtrudniejszej, takiej, która jest najbardziej przeciwna i wstrętna dla usposobienia współczesnego sposobu życia. Polacy nie tylko obficie wystawiają swe życie. Nie tylko idą sami na pastwę wraz z dziećmi i całym pokoleniem młodzieży, która ginie w ogniu, idzie na śmierć i na wszystkie wyczerpania, na wszystkie nędze, które ją poprzedzają, czyniąc to z większym jeszcze spokojem i determinacją niż entuzjazmem. Nade wszystko obficie składają oni w ofierze swe dobra. Pieniądz, własność, **to bóstwo cywilizacji współczesnej**, droższe dziś dla wielu niż samo życie, zdają się oni jedynie znać, aby nim pogardzać i nieść je w ofierze. Ziemię i posiadłość, domy, zasoby, kapitały, zastawy i pieniądz — wszystko to wydane jest na łup, wszystko tracone, a całkowita ruina staje się zapewnionym losem każdego, co uchodzi przed śmiercią. Ta patriotyczna rozrzutność nie jest bynajmniej u nich rzeczą nową. Ale nowe jest to nadzwyczajne podporządkowanie się, te prawdziwe cuda posłuszeństwa i subordynacji, które roztoczył na naszych oczach naród, uważany za niesforny — cuda zdziałane pod impulsem narodowego rządu. Nikt nie zna nazwisk i miejsca postoju tego rządu tajnego, a jednak powszędy spotyka on ślepą uległość, która się rodzi jedynie z siły tej narodowej wiary w ojczyznę, wiary, której nie narzuciła, ani nie zhańbiła jeszcze żadna narzucona dyktatura, żaden gwałt rewolucyjny...

A zatym, powtarzamy bez zmęczenia, że tylko dwie są obecnie wielkie rzeczy na świecie: Papież i Polska. Jedna i druga wierne obowiązkowi, sumieniu, godności własnej, nieszczęściu. Czytając wstrząsającą improwizację Piusa IX całkiem po prostu jest się zmuszonym wspominać słynną przemowę jednego z jego poprzedników, Urbana II na soborze w Clermont, gdy przez samą opowieść o zniewagach, czynionych chrześcijanom w Ziemi Świętej, rozpalił on w sercach słuchaczy francuskich ogień, który miał ogarnąć cały Zachód i wykwitnąć pierwszą krucjatą. A więc dusza Stolicy Piotrowej zawsze pozostaje niezmieniona. Lecz co za przeciwieństwo między Europą ówczesną i naszą obecną Europą! Co za upadek i co za wstyd dla współczesnej cywilizacji, dla Europy jako takiej w ogólności i dla każdego z jej krajów w szczególe! Zaprawdę, bardzo mi o to chodzi, aby nie być zaliczonym do rzędu oszczerców tego świata nowożytnego. Bardziej o to dbam, niż potrafię to wypowiedzieć. Myślę bowiem, że w tym świecie nowożytnym wiele jest siły i cnoty obok bardzo wielu stron ciemnych. Myślę przede wszystkim, że jest on z natury swej zdolny do naprawy i postępu, do nawrotu. Lecz nie sposób jest nie uznać w nim wielkiego upadku zmysłu moralnego, wielkiego wyziębienia serca ludzkiego, znacznego umniejszenia tego poczucia honoru i tej wspólnoty i solidarności narodów, które, dawniej, stanowiły treść i istotę chrześcijaństwa.

Osiem wieków temu papież mógł uzbroić cały Zachód opowieścią o gwałcie, dokonanym na cześć i swobodę chrześcijan w Palestynie. Dzi-

PAWEŁ JANECKI

KOŁO UDRĘKI

WALKA z Kościołem w Polsce przybiera z każdym dniem na sile. To jest widoczne dla każdego. Nie dla każdego jednak jasny jest najbardziej zasadniczy teren tej walki i zasięg.

Nie należy ograniczać się do obserwowania objawów najbardziej wyrazistych i zewnętrznych. Proces księdza o bandytyzm polityczny, przeciwdziałanie pielgrzymkom czy nawet ograniczenie nauczania religijnego są to objawy najłatwiejsze do zauważenia i niewątpliwie ważne, ale nie charakteryzują one istoty walki z religią, jak jest ona obecnie w Polsce prowadzona. Plan tej walki jest głębszy i bardziej perfidny.

Odbywa się ona w atmosferze wszechstronnej, ustawicznej i monotonnej propagandy komunistycznej, skierowanej przeciw Kościołowi. Podobnie jak przed wojną elementy wrogie Kościołowi i nierzadko związane z komunizmem w ruchu ludowym, nie chcąc narażać się masom przywiązanym do katolickości, głosiły, że walczą z **Watykanem i ze złymi księżmi, a nie z religią**, tak i dziś tego samego trzyma się propaganda komunistyczna. „Bardzo szanujemy uczucia religijne" powiada ta propaganda, a jednocześnie objawy życia religijnego atakuje gwałtownie pod pozorem walki z „Watykanem" i „reakcyjną częścią kleru". Propaganda ta nie liczy się z możliwością podburzenia wiernych przeciwko duchowieństwu ani nawet przekonania większej ilości ludzi. Dąży ona do wtłoczenia, przez stałe powtarzanie, pewnych pojęć, do wywołania wrażenia, że można być katolikiem i komunistą nie równie lepiej, niż katolikiem i „watykańczykiem".

Wiadomość, podana przez agencję amerykańską Associated Press, jakoby komuniści zmierzali w Polsce do stworzenia katolickiej „żywej cerkwi" na wzór sowiecki, nie jest ścisła, obrazuje ona jednak ideał, ku któremu komuniści poszliby, gdyby mieli większe dane. Dlatego właśnie, na tle kierunku propagandy komunistycznej, tak ważny był dekret papieski o ekskomunice komunistów. Utrudnił on niewątpliwie grę komunistyczną i wywołał zrozumiałą wściekłość. Odpowiedź komunistów była podwójna, przez propagandę i zastraszenie. Propaganda polegała na oświadczeniu „rządu", skierowującym wszystko na tor „proniemieckości" Watykanu. Nie mogąc wykazać się żadnym poparciem ze strony katolików w tym ataku na Stolicę Apostolską, komuniści postarali się o oświadczenie grupy tzw. katolików społecznych, bardzo mętne w formie, ale w treści popierające stanowisko komunistów w imię prawa katolików do krytyki „politycznych skutków" dekretu Świętego Officjum. Grupa ta, przyciskana coraz mocniej, coraz wyraźniej odchodzi od katolicyzmu, jak to wykazuje katolicka prasa krajowa, jest jednak zbyt drobna i słaba, by stanowić oparcie dla jakiejś szerszej akcji.

Istotną odpowiedzią był dekret rządowy o „ochronie wolności religii". Jak dotąd, jest on tylko groźbą i narzędziem zastraszania, ale może stać się narzędziem perfidnych prześladowań. Najistotniejszym postanowieniem tego dekretu jest wysoka kara za utrudnianie komukolwiek dostępu do praktyk religijnych „z powodów politycznych".

Żeby ocenić w pełni co to znaczy, sięgnąć trzeba do przykładu. Ksiądz siedzi w konfesjonale. Przychodzi jakiś człowiek i powiada: „Jestem członkiem PZPR nie z przymusu ani z oportunizmu ale z przekonania. Uważam, że jest to partia pożyteczna, chcę z nią współpracować dalej, a choć sam jestem wierzącym katolikiem, nie przeszkadza mi głoszony przez władze partii materializm". Ksiądz ma obowiązek wytłumaczyć mu błędność takiego stanowiska, a nawet odmówić rozgrzeszenia. Z chwilą odmowy rozgrzeszenia, tj. odmowy dopuszczenia do sakramentów spowiedzi i Eucharystii, człowiek ten może iść na policję i oskarżyć księdza o przestępstwo. Podobnie jakaś grupa ludzi z czerwonymi gwiazdami czy innymi odznakami może ostentacyjnie zażądać dopuszczenia do Komunii, a odmowa oznaczać będzie przestępstwo.

Jak z tych przykładów (a można by przewidzieć wiele innych) widać, komunizm nie ogranicza się do walki z Kościołem od zewnątrz, do prześladowań masowych w stylu starożytnym. Uderza on w samo wewnętrzne życie Kościoła, stara się sparaliżować działanie duchownych jako szafarzy sakramentów, podważyć samą instytucję sakramentów. Spowiadanie, odprawianie Mszy, pójście do chorego, udzielanie ślubu, każda z tych czynności może być dla kapłana połączona z niebezpieczeństwem i to nie niebezpieczeństwem ze strony policji, przeciw czemu łatwiej jest uzbroić się duchowo i zabezpieczyć praktycznie, ale ze strony prześladowcy pod maską wiernego.

Komuniści liczą, że słabsi księża i słabsi wierni zaczną się załamywać, będą w praktyce unikali stosowania dekretu apostolskiego, poddani zostaną rozterce, autorytet ich będzie zachwiany. Nie należy i o tym zapominać, że wierny chcący się spowiadać z przymusowej współpracy z komunistami, może się obawiać, że ksiądz następnie aresztowany z jakiegokolwiek innego powodu i poddany wyrafinowanym torturom zezna o jego spowiedzi...

Wytwarza się w ten sposób koło udręki. Przełamanie tego koła wymaga niebylejakiego heroizmu ze strony katolików polskich. Nadzieja polega na istnieniu wiekami wytworzonego wzajemnego zaufania w Kościele polskim i na zdolności do solidarnego reagowania zbiorowego w stosunku do zdrajcy. Wiedząc o tym, komuniści będą zapewne wprowadzali w życie swój dekret ostrożnie, samo jednak jego istnienie jest już ustawiczną groźbą i katolicy całego świata wolnego powinni modlić się o szczególny dar męstwa dla kapłanów w Polsce.

Paweł Janecki

siaj znów przemawia Papież. Wydaje on na gniew Boży i ludzki gwałty o ileż bardziej dotkliwe i o ileż liczniejsze! — jakich dopuszcza się Rosja na swych braciach Polakach. A Europa pozostaje głucha, nieruchoma".

Montalembert wspomina, że kiedy był w grze interes, Europa potrafiła się jednoczyć nawet na niekorzyść słusznych spraw. Jednak, gdy teraz chodzi o sprawiedliwość, to pozostaje głucha.

„Wobec tego śpijcie spokojnie i radujcie się pomyślnością, władcy Europy, mężowie stanu i dyplomaci i wy również, konserwatorzy za wszelką cenę. Zamknijcie oczy na ten potok krwi, który spływa aż do waszych stóp. Zatykajcie uszy na te krzyki rozpaczliwe dzieci i znieważanych niewiast, młodych ludzi i starców, których zsyłają; na te jęki, na te okrzyki rozpaczy wielkiego narodu, który jest niszczony. Śpijcie i radujcie się. Myślcie tylko o waszych spekulacjach, o waszych zyskach, o dziwacznych przyjemnościach i poprzestańcie na tych dowodach sympatii, która posuwa się aż tak daleko, że zapożycza mody z polskich strojów i dreszczyków z polskiej muzyki... Lecz gdy grzmot nagły was przebudzi, gdy straszliwe jutro zaświta, gdy wszystko zapadnie się pod waszymi stopami, gdy struchleli, drżący wobec tego straszliwego światła, które zapala nad przyszłością każde, nagle przychodzące, nieszczęście. rozpoczniecie na nowo szukać starych dróg prawdy i prawości, nie szukajcie zbyt daleko przyczyny i wytłumaczenia waszego załamania,

Całe jedno pokolenie, a może dwa zejdą przedwcześnie do grobu pod ciosami nieubłaganego zwycięzcy, nie mogąc nawet przewidzieć dnia wyzwolenia. Już powstaje nowe i następne się podniosą po nim (M. mówi o Polsce), by spełnić te same ofiary i znosić te same katorgi, by zadziwiać świat przez te same cuda waleczności i cierpienia. Natchniona obietnica króla — proroka napełnia je uroczystą nadzieją, że Bóg nie pozostawi na zawsze rózgi grzesznika na ojcowiźnie sprawiedliwego, aby snać sprawiedliwi nie byli kuszeni do podania ręki niesprawiedliwości... oto wojsko męczenników jest już w pochodzie. Spokojne, owiane smutkiem,pewne swej decyzji,niedostępne dla strachu, zmęczenia. zniechęcenia, ze wzrokiem i sercem zwróconym ku niebu, nie zatrzyma się dopóki nie dosięgnie celu, na który patrzy, aż spocznie w królewskim objęciu Chrystusa,tego Ojca i Boga sprawiedliwości i m i ł o s i e r d z i a, których Polska jest pokorną, ale niezłomną dłużniczką".

Tak pisał Montalembert osiemdziesiąt pięć lat temu z powodu głośnego przemówienia Piusa IX,który brał wówczas Polskę w obronę i nieustraszenie ukazywał kary, które spaść mogą na kraj jej prześladowców.

Wiele od tego czasu się zmieniło. Ale wiele rzeczy pozostało niezmiennych. Może poczucie wspólnoty i sprawiedliwości ludzkiej tu i ówdzie stało się silniejsze siłą rzeczy, ale niestety nie siłą świadomości praw boskich. Jest jednak pewne, że gdy do okupowanej Polski dotarły niewiadomymi drogami egzemplarze modlitewnika polskiego, wydanego wraz z Nowym Testamentem w Watykanie i zaopatrzonego dedykacją Piusa XII z błogosławieństwem dla polskich nadziei, rozproszył się tuman jakiegoś mroku, który ludzie napewno działający pod tchnieniem wrogim starali się rozpościerać na dusze i serca uciemiężonych...

Przypomniał
Jan Winnicki

TERESA SKÓRZEWSKA

OSTRZEŻENIA*)

ZMĘCZENI rzeczywistością dzisiejszą, chronimy się w kraj lat dziecinnych. Podróż do naszego wczoraj nie jest bezpłodnym rozpływaniem się w wspomnieniach, lecz sięgnięciem do czystego źródła, skąd płynie moc, by w smutnym dzisiaj nie zatracić siebie.

Ziemia i dom rodzinny, ludzie wśród których otwierały się nasze oczy, budziły pierwsze reakcje świeżego dziecięcego serca, to ważkie czynniki w kształtowaniu się człowieka. Zdawałoby się, że są przyrodzonym prawem dziecka. A jednak wyrasta wokoło nas pokolenie, któremu to prawo wydarto, dla którego wspomnienia dziecięce to wizja bombardowań, miast płonących, rozstrzeliwań, osaczeń i deportacji, a wreszcie niekończącej się tułaczki, wśród wrogich lub obcych. Wielka część tych młodych, odcięta od rodzin swoich, toruje sobie drogę w przeraźliwej samotności, która wydaje się jedną z największych win starszego pokolenia. „Młodzież nasza — przytaczam tu ustęp z artykułu Józefa Czapskiego — wyszła z gruzów Warszawy, uczyła się podczas wojny dorywczo w tajnych kompletach; w okresie najbardziej plastycznym, biła się, konspirowała, politykowała; przeżywała wpływy nie tylko bohaterów walki podziemnej, ale i drani, łajdaków i spryciarzy, ale także Gestapowców i N.K.W.D." Artykuł Spowiedź Dziecięcia Wieku" analizuje niepokój młodych Polaków, szukanie dróg własnych, wiodących nieraz na manowce. Że nie wywołał żadnego oddźwięku, żadnej dyskusji, jest jednym więcej dowodem marazmu emigracji i nieumiejętności skupienia uwagi na sprawach najważniejszych.

Dziwnym zbiegiem okoliczności zaraz po przeczytaniu tego artykułu, natrafiłam na parę dokumentów dowodzących, że kryzys wiary w jakiekolwiek wartości nie ogranicza się do naszych bezdomnych dzieci.

Porównajmy urywek listu ośmnastoletniego Polaka z Kraju, który Czapski przytacza, z pismem angielskiego studenta. Młody Polak pisze: „W 1945 roku spotkałem ludzi z Lublina, zetknąłem się z partią, do której w imię realizmu dziejowego à la Wielopolski poszłem z innym światem wartości. W nowe dogmaty nie wierzyłem, ale zachwiały się stare. Nie ma prawdy absolutnej; nie ma czynów, samych przez się złych czy dobrych".

A oto list, skierowany do „Manchester Guardian", przez studenta Magdalen College w Oxfordzie w proteście przeciw projektowi konferencji religijnych:

„Potrzebą nauczania religijnego w tym kraju jest znacznie mniejsza niż potrzeba uczciwego myślenia. Czyn moralny, to czyn dokonany przez niepowtarzalne jednostki w szczególnym otoczeniu. Nie może zatem istnieć sąd jednoznaczny o tym, jak należy postępować".

Cechą wspólną obu listów jest odrzucenie prawdy absolutnej i ogólnie obowiązującej definicji dobra i zła.

Działa tu modny przez długi czas pogląd, według którego byt określa świadomość; inaczej mówiąc, świadomość, a za nią postępowanie, byłyby wytworem niejako mechanicznym i nieuniknionym, takich czy innych warunków i przeżyć. Dobrem dla ludzi wyrastających w tych pojęciach staje się wszystko, co sobie fantazja jednostki jako warte osiągnięcia wyobrazi.

W starszym społecz. angielskim spojrzał z tą samą troską co Czapski na łodzie bez steru wyruszające w burzliwy ocean Sir Walter Moberley. Wprawdzie ten pisarz zajmuje się specjalnie uniwersytetami angielskimi. Stojąc u szczytów hierarchii uniwersyteckiej, analizuje działanie tych potężnych instytucji, aby wpłynąć na dalsze ich kształtowanie i rozwój. My tygla, w którym dojrzała myśl i tradycja polska kształtowałyby młode pokolenie, już nie posiadamy. Młodzież nasza dojrzewa w uczelniach iluż obcych krajów, lub w Polsce na uniwersytetach państwowych, pod coraz bezwzględniejszym naporem obcych nam doktryn. Tym większa odpowiedzialność spada na całość starszego społeczeństwa. Warto nam przemyśleć pracę sumienną Moberleya, wychodzącą z założeń, które autor na wstępie podaje: „Na wielkich przestrzeniach Europy i Azji zabrakło obowiązujących przekonań; panuje zamieszanie, oszołomienie, niezgoda. Cała struktura tradycyjnej wiary, obyczaju i uczuć, na której przekonania wyrastają, zawaliła się. Wszędzie na świecie roztrzaskała się forma kształtująca zwyczaje. Wszędzie detronizacja bogów, których miejsce zajmuje próżnia. Umysłowo i duchowo większość ludzi dzisiejszych są displaced persons".

Z tym stanem rzeczy rozprawia się autor, analizując katastrofalne wyniki światopoglądu, odrzucającego Boga, życie wieczne, grzech i osobistą odpowiedzialność człowieka za własne myśli i czyny. Stwierdza, że liberalizm myśli zachodniej, dla uniknięcia kontrowersji, usunął z nauki problem wartości!

Ilustruje działanie tak wyjałowionej nauki, rysując np. sylwetkę profesora francuskiego języka, któremu wkłada w usta następujący monolog: „Studiowałem język, instytucje i literaturę francuską starannie i mogę z kompetencją innych z nimi zapoznać, Ale kto — Voltaire czy Pascal, posiadł prawdziwy obraz rzeczywistości, kto — Taleyrand czy Fenelon właściwszą sobie torował drogę życia, o tym nie mam pojęcia. Moje zdanie nie może mieć pod tym względem więcej wartości, niż zdanie sąsiada i żadnych wskazań co do tego uczniom moim dać nie mogę."

Po tej linii idąc, stwierdza Moberley, uczelnia może wykształcić studenta na chemika, czy lingwistę; lecz, co powinien zrobić z chemią czy językami, kiedy je opanuje? czy i dlaczego niesprawiedliwość, okrucieństwo i oszustwo są złe, a przeciwieństwo ich dobre? czy wiara w Boga jest pułapką i złudzeniem, czy też jedyną podstawą życia i prawdy? — to wszystko młody człowiek musi sam rozwikłać jeśli potrafi, w tym uniwersytet nie da mu żadnej pomocy." Jeśli chcesz mieć bombę, Wydział Chemiczny nauczy cię, jak ją zrobić, jeśli chcesz Katedrę — Wydział Architektury wskaże ci, jak ją zbudować, jeśli pragniesz zdrowia — Wydział lekarski powie ci, jak o nie dbać. Jeśli jednak zapytasz, czy i dlaczego masz pragnąć zdrowia, katedry, lub bomby, wszechnica staje się niema i bezradna. Daje pomoc i kierunek we wszystkich sprawach drugorzędnych, milczy w istotnych. Abdykacja wychowawcy jest zupełna.

Taki stan rzeczy mógł ciągnąć się przez pewien okres, niedoprowadzając do zburzenia cywilizacji, dlatego, że ludzie wyrzekający się religii byli jednak wykołysani w wniesionej przez religię świadomości dobra i zła, w przyzwyczajeniu zastanawiania się nad wartością swoich uczynków. Agnostyk n.p. John Stuart Mill stworzył dosadny aforyzm „lepiej pozostać nieszczęśliwym człowiekiem, niż stać się zadowoloną świnią".

Jest jednak jasne, że w ślad za niewiarą następował powolny zanik wyrosłej z niej etyki chrześcijańskiej. Miejsce kultu dobra zajął kult siły, skuteczność zaczęła normować działanie, wypierając samo pojęcie sprawiedliwości.

A doktryny, które takie przenicowanie wartości szerzą, są dalekie od dyskretnego cofania się z terenów mogących wywołać kontrowersje. Znają burzliwą, namiętną pasję czynu młodzieży, i po mistrzowsku umieją na niej grać, by przywabiać a potem przykuć tych wszystkich, których sceptycyzm Zachodu odstręcza.

Bolszewizm urabia młodych środkami precyzyjnie przestudiowanymi, które psychologia i biologia stawiają coraz obficiej do dyspozycji ludziom pozbawionym skrupułów etycznych: grą na najszlachetniejszych porywach i najgorszych instynktach, przyczajonych w podświadomości, terorem. Okrutna a umiejętna tresura kształtuje milionowe zastępy posłusznych niewolników nieludzkiego ustroju.

Oddziaływanie tego ustroju wszędzie dzisiaj przenika. Bo cóż mu Zachód przeciwstawia poza negacją? — Zbyt mało sobie zdajemy sprawę, że żyjemy znowu w świecie pogańskim. Wśród morza niewiary zaledwie wysepki chrystianizmu, zdegenerowanego w Anglii na skłócone sekty i kapliczki, od których młodzież angielska stroni, pochłaniana bez reszty przez materjalizm.

Moberley w „Crisis of the University" zastanawia się nad możliwościami pogłębienia pracy uniwersytetów, by stały się tamą przeciw coraz dalszemu rozpadaniu się odpowiedzialnej jednostki ludzkiej, by z roli szkół technicznych powróciły do zadań wszechnicy, w której młody człowiek znalazłby warunki i pomoc w rozwinięciu woli i charakteru równomiernie z intelektem.

Obie omówione prace analizują fakty ,stawiają problemy. Znalezieniu odpowiedzi i dróg wywodzących z chaosu nie podołają jednostki, jeśli ich społeczeństwa nie zechcą usłyszeć i zrozumieć.

„ Grzechem dnia dzisiejszego — kończy Moberley — jest fatalizm wynikający z tak olbrzymiego wzrostu skali działań socjalnych, że odpowiedzialność osobista za nie znika nam z oczu. Wydaje nam się, że sprawy ogólne ,powszechne, przez sam swój rozmiar są poza naszym zasięgiem. Tak sprawa wszystkich staje się sprawą niczyją. Nie unikniemy zagłady, jeśli nie dojdziemy do przekonania, że sprawa wszystkich jest sprawą każdego. A na początek trzeba, aby Chrześcijanie zechcieli sprawy wszystkich uważać za swoje własne sprawy".

Teresa Skórzewska

---

*) Sir Walter Moberley: „The Crisis of the University". Wydawca: S.C.M. Press, 56 Bloomsbury Str. London. 12 sh. 6 d.

Józef Czapski: „Spowiedź Dziecięcia Wieku". w „Kulturze". Numer kwietniowy 1949. „Gryf" 59 Hatton Gds. E.C. — 3 sh.

WOJCIECH ZALESKI

KATOLICYZM, TAM GDZIE GO NIE WIDZIMY

W POPRZEDNIM artykule starałem się wykazać, że miarą katolickości danego ustroju społeczno-gospodarczego, względnie jego tendencji rozwojowych będzie stopień realizowania przezeń warunków zabezpieczających wolność jednostek, ale w taki sposób, by nie powstawały jakieś możliwości nadużywania tej wolności, a z drugiej strony, by ustrój umożliwiał i ułatwiał służbę na rzecz całości, by niejako uwydatniał solidarność interesów, a równocześnie — dodajmy — stwarzał formy rozstrzygania zatargów przez państwo, jako najwyższego arbitra oraz dawał państwu możliwość kierownictwa w stopniu zabezpieczającym przed nędzą, a zwłaszcza przed bezrobociem.

Cechą ustroju katolickiego będzie też przepojenie życia społecznego ideami chrześcijańskimi, gdyż bez tego każdy ustrój społeczno-gospodarczy wyrodzi się w jakichś formach wyzysku. Rzecz w tym, że bez względu na to, czy podstawą teoretyczną danego ustroju jest dążenie do całkowitej wolności jednostki, czy też, przeciwnie, całkowite podporządkowanie jednostki celom i potrzebom całości społecznej — rezultaty bywają dziwnie podobne. We współzawodnictwie silnych powstają najpierw duże różnice bogactw, z tego rodzi się instynkt władzy, jaką daje bogactwo i tendencje do... usunięcia współzawodnictwa, czyli do wprowadzenia planowania prywatno-gospodarczego. Takie planowanie prywatno-gospodarcze rodzi się najpierw w pewnej dziedzinie życia gospodarczego, potym objąć może działy pokrewne, wreszcie, przeważnie z inicjatywy kapitału finansowego, rozciąga się na coraz większą ilość działów gospodarstwa społecznego i w pewnym stopniu przypomina planowanie socjalistyczne, mimo istnienia własności prywatnej w sensie kapitalistycznym. Co więcej takie, planowanie może być wykonywane nawet przez państwo, gdy jego aparat jest poddany wpływom pewnych grup wielkokapitalistycznych.

Skądinąd w ustroju planowania socjalistycznego i upaństwowienia wszystkich czy prawie wszystkich narzędzi produkcji rodzą się inne przemiany. Oto zróżniczkowanie dochodu społecznego postępuje w miarę jak rośnie faktyczne opanowanie życia gospodarczego przez aparat kierowniczy. Używając takich pojęć, jak „państwo socjalistyczne", czy też „aparat socjalistycznego planowania" skłonni jesteśmy — co wynika nawiasem mówiąc z błędnych założeń totalizmu — zapominać o tym, że ten aparat i to państwo są jednak reprezentowane przez żywych ludzi, a abstrakcyjne pojęcie należy tu po prostu zastąpić konkretnym obrazem biurokracji. Jest przecież faktem, że w gospodarce np. Rosji Sowieckiej zróżniczkowanie dochodu poszczególnych warstw jest niemniejsze niż w krajach najjaskrawszych wybryków kapitalistycznych, a napewno mniejsze niż w wielu krajach o zrównoważonej strukturze, które okrzyczane jako „kraje wyuzdanego wyzysku kapitalistycznego".

Czyż więc nie widzimy wielkich analogii między rzeczywistym układem sił społecznych w krajach, które oficjalnie posługują się zupełnie rozbieżną frazeologią? Może różnica między pewnymi formami planowania kapitalistycznego i socjalistycznego jest raczej różnicą po prostu genezy niż aktualnego stanu rzeczy?

Amerykański socjolog Burnham w swej głośnej, (typowo zresztą amerykańskiej przez liczne symplifikacje i uproszczenia, książce o rewolucji managerów przeprowadza tę analogię i ma sporo racji. Nie dostrzega jednak nowych sił, przeciwstawiających się dyktaturom managerów, choć narastanie ich jest faktem oczywistym. Rzecz przytym ciekawa, że pewne szablony socjalistyczne okazują się mało przydatne w praktyce tam, gdzie właśnie rozwój tych sił — mirabile dictu pod hasłami socjalistycznymi — posunął się daleko.

Rosja Sowjecka nie miała kłopotów ze związkami zawodowymi, ponieważ były one tam słabo rozwinięte. Nieco więcej kłopotu było z nimi już w Polsce. W procesie Adama Doboszyńskiego prokurator, który nawiasem mówiąc wygadywał przy wielu okazjach niestworzone bzdury, powiedział, że prawdopodobnie Doboszyński chciał organizować „żółte związki zawodowe". Otóż „żółtymi" nazywało się te związki, które były organizowane przez pracodawcę dla otumaniania robotników i pokierowania nimi w sposób zgodny z interesami pracodawcy. Według tego określenia w dzisiejszej Polsce wszystkie związki zawodowe są żółte i bardzo jaskrawo żółte, gdyż są narzędziem trzymania w karbach żelaznej dyscypliny rzesz robotniczych, utrudnienia im walki o ludzkie życie, nakłaniania do zwiększonej wydajności. Ale z początku były ze związkami zawodowymi pewne trudności. Podobne trudności występują także w socjalizowanych dziedzinach życia gospodarczego Anglii i tu nie dadzą się tak łatwo przezwyciężyć, gdyż wolność osobista jest niemożliwa do pogodzenia z socjalizacją, jak ją pojmują współcześni marksiści, to znaczy ze zwyczajnym upaństwowieniem narzędzi produkcji. Konflikty między pracą a kapitałem nie ustają przez to, że kapitalistą staje się państwo. Nową siłą społeczną są związki zawodowe — ich rozwój jest wyrazem emancypacji klasy robotniczej. Otóż jest rzeczą znamienną, że narastające nowe siły społeczne nie znajdują zdrowego ujścia dla swych energii ani w ustroju kapitalistycznym, ani w ustroju socjalistyczno-marksistowskim, jaki wzoruje się na Rosji i polega na zwyczajnym zniesieniu własności prywatnej.

Jest rzeczą niesłychanie znamienną i powiedzmy dla niekatolika wprost zagadkową, że społeczna nauka Kościoła Katolickiego, akceptując niejako rozwój związków zawodowych (nb. zgodnie z dawnymi tradycjami), wyznaczała mu dalszą drogę w formie zwiększonego udziału robotnika we własności już wówczas, kiedy rozwój związków zawodowych łączony bywał raczej z tendencją ku zupełnemu zniesieniu tej własności. Dziś jeszcze nie dla wszystkich ten dylemat będzie zrozumiały, dlatego, że związki zawodowe używane są przez komunizm do rozsadzania kapitalistycznego porządku rzeczy. Natomiast w razie zwycięstwa komunizmu, powiedzmy sobie w krajach zachodniej Europy lub w Ameryce, związki zawodowe stałyby się automatycznie największą przeszkodą dla urzeczywistnienia komunizmu według wzorów rosyjskich.

Natomiast organicznie postępuje proces wzrostu udziału robotników we własności także w krajach kapitalistycznych, choć nie dla każdego proces ten jest widoczny — przeoczył go mianowicie zupełnie wyżej cytowany Burnham. Jeżeli rady załogowe podejmują współpracę z kierownictwem przedsiębiorstwa i uzyskują — w zgodzie czy w walce — wpływ na to kierownictwo, to oczywiście jest to rozszerzeniem władztwa robotników, choć nie jest z tym złączone żadne przepisywanie formalnych tytułów własności. **Jestem pewny, że dzień, w którym robotnicy „General Motors" w zatargu o płace zażądali przedstawienia sobie kalkulacji produkcji samochodów będzie kiedyś uważany za początek historycznego przełomu.**

Od udziału w kierownictwie przez udział w zyskach droga prowadzi nieuchronnie ku udziałowi we własności. Własność prywatnych narzędzi produkcji nie jest dla Kościoła katolickiego dogmatem. Ale własność jest symbolem wolności jednostek, jes też tej wolności zabezpieczeniem. Chodzi zatem o to, by własność była **upowszechniona**, gdyż wolność, wynikająca z godności człowieka, jest przyrodzonym prawem wszystkich ludzi, a nie drobnej garstki wyzyskiwaczy. Coraz dalej postępujące zrozumienie tej problematyki jest — często nieuświadomionym — zbliżeniem do katolickich idei społecznych.

Być może, że ideał społeczeństwa bezklasowego jest możliwy do osiągnięcia. Nie oznacza to, by wszyscy ludzie mieli mieć równe dochody, ale oznacza brak nieprzebytych murów i różnic między ludźmi, takich, jakie stwarza czy to kapitalizm, czy komunizm z jego niedostępną elitą za murami Kremla. Droga do urzeczywistnienia ideału społeczeństwa bezklasowego nie prowadzi bynajmniej przez zupełne zniesienie prywatnej własności środków produkcji, lecz przez jej upowszechnienie.

Katolicka doktryna społeczna, w pełni świadoma węzłów, łączących ludzi w społeczeństwo, nie ma powodu do odrzucania planowości gospodarstwa. Będzie jednak zawsze wolała planowanie kierunkowe w połączeniu z państwową polityką inwestycyjną od planowania ścisłego, czyli ilościowego. Pojęcia te są może niezrozumiałe dla czytelników, gdyż sama koncepcja gospodarki planowej jest nowa, a terminologia z nią związana nieustalona. Przez planowanie kierunkowe rozumiem stwarzanie warunków szybszego rozwoju pewnych działów wytwórczości, oparte czy to na przewidywaniu spodziewanego popytu, czy na założeniach pozagospodarczych, przy pomocy najróżniejszych narzędzi polityki gospodarczej bez upaństwowienia narzędzi produkcji, a co za tym idzie bez przepisywania poszczególnym przedsiębiorstwom ścisłych ilości i jakości wytwarzanych dóbr. W połączeniu z zasadą subsydjarności odbiera to planowaniu ostrze totalistyczne, tak niebezpieczne dla wolności ludzi. Bez daleko idących luzów planowanie sprowadzić się musi do narzucenia przez nieliczną grupkę planistów wszystkiego: rodzaju i spożycia, sposobu pracy i całego życia.

Przemiany oparte na stopniowej emancypacji mas robotniczych i zwiększeniu ich roli w życiu gospodarczym rozwijają się po linii wytkniętej przez wielkie encykliki społeczne. Wydaje mi się, że wywrą one na kształtowanie się przyszłego ustroju wpływ o wiele większy niż eksperymenty totalistów, których efektowne ale krótkotrwałe sukcesy zewnętrzne oszałamiają współczesnych. Na długą metę dynamiczność życia gospodarczego może być o wiele skuteczniej osiągnięta przez rozsądne związanie wynagrodzenia z wynikami pracy, co bywa naogół osiągane najlepiej przez pracę na własny rachunek. Wielkie konflikty społeczne rodziły się zawsze tam, gdzie masowo wprowadzano pracę najemną, przy której tego związku nie ma. Problem istotnej przebudowy życia gospodarczego polega właśnie na tym, by w przedsiębiorstwach wielkich przywrócić ten związek, czyli w ostatecznym rezultacie zlikwidować walkę klasową przez likwidację klasy wydziedziczonych. Chodzi o nadrobienie opóźnienia w rozwoju form gospodarczych, powstałego wskutek oszałamiających postępów techniki.

Oczywiście, jak każdy ustrój gospodarczy, tak i ten, którego zarysy staram się zakreślić, może być narażony na niebezpieczeństwo wyro-

Dokończenie na str. 8.

WOJCIECH WASIUTYŃSKI

CZTERNAŚCIE CÓREK ACEDII

NIESPODZIEWANE echo, jakie znalazły w swoim czasie moje felietony o grzesznym smutku czyli acedii, skłoniło mnie do przestudiowania bliżej tej materji i obecnie mogę się podzielić z Czytelnikami wcale interesującymi poglądami średniowiecznych uczonych na ten temat.

Okazuje się przede wszystkim, że Acedia nie jest sama, lecz, że wedle nauki Doktorów jest ona głową bardzo licznej i bardzo nieprzyjemnej rodziny. Ponura ta postać, którą spotkać można prawie w każdym lokalu polskim, a i w najwyżej umysłowo stojących towarzystwach cudzoziemskich, nie chadza sama. Ma ona znaczną ilość nieodrodnych córek. Córkami scholastycy nazywali wady pochodzące od jakiegoś zasadniczego grzechu, acedię zaś święty Tomasz uważał za jeden z grzechów głównych.

Acedia jest płodna. Święty Grzegorz znał sześć jej córek, a mianowicie: Złośliwość, Pogardę, Tchórzostwo, Rozpacz, Gnuśność i Błądzenie Umysłu Dokoła Rzeczy Nieprawych. Lepszą jeszcze znajomość potomstwa Acedji wykazuje święty Izydor. Oprócz wspomnianych sześciu córek wymienia on jeszcze osiem dalszych a mianowicie: Rozgoryczenie, Rozleniwienie, Senność, Niepokój Umysłu, Niepokój Ciała, Niestałość, Gadulstwo i Ciekawość.

Odkąd święci uczeni przedstawili tę miłą rodzinę, zacząłem poznawać na ulicy i w lokalu urocze córeczki Pani Acedii i muszę powiedzieć, że nierzadko zdarza mi się widzieć ich charakterystyczne sylwetki. Oto naprzykład siadam w pewnej polskiej kawiarence. Przy sąsiednim stoliku dwóch panów: jeden mówi i mówi bez przerwy z monotonną gestykulacją, drugi go wcale nie słucha, obojętny na wszystko. I widzę wyraźnie, że mówiącego obejmuje za szyję wiedźma, o druga siedzi mu na kolanach. Przyglądam się i poznaję: Smutne Gadulstwo go obejmuje a Smutna Ciekawość go obsiadła.

Ale i drugi z panów nie jest sam: mglistą dłonią przysłania mu oczy wiedźma a druga łaskocze go za uchem. Nie ma wątpliwości: ta pierwsza to Smutna Senność a ta druga Smutne Błądzenie Umysłu Koło Rzeczy Nieprawych. Wtem podpływa do niego trzecia wiedźma, w której nietrudno poznać Niepokój Ciała, i podnosi go za kołnierz. Facet wstaje, nawet nie przeprasza gaduły, chce odejść. W oczach gaduły widać panikę: zobaczył przed sobą nową wiedźmę, boi się zostać sam, chce mieć słuchacza, choćby obojętnego, za wszelką cenę. To położyła mu spiczasty palec na grdyce Tchórzostwo. Odchodzący to zauważył, ale **nie zatrzyma się. Bo już go wzięły** pod pachy dwie panienki Acedii, dwie jej najstarsze córki: Smutna Pogarda i Smutna Złośliwość.

Rozmówca został sam. Nie, nie sam: na wolne miejsce przysiadła się wiedźma z wypiekami na twarzy. To smutna Niestałość. Zaczyna sprzeczać się z nim zajadle, wymyśla mu, szarpie za klapę marynarki. W tej chwili wszakże do stolika podchodzi nowy gość. Osamotniony gaduła raduje się, widocznie spodziewa się nowego słuchacza. Radby zacząć rozmowę, przygląda się bliżej kompanowi, ale w tym momencie z za pleców tamtego wychyla się jego towarzyszka i gaduła zamiast w oczy rodaka spogląda wprost w oczy Panny Rozpaczy. Zrywa się i wychodzi. Panna Rozpacz opuszcza towarzysza i we wdzięcznych podskokach sunie za gadułą. Ale po drodze ręką przyzywa siostrzyczkę. I już wsparta na ramieniu przybysza, skroń opiera o jego skroń Smutna Gnuśność.

Zapatrzony w te sceny okropne nie zauważyłem, że łokciem wsparta o mój stolik kokietuje mnie blada wiedźma Smutna Złośliwość. Możecie sobie łatwo wyobrazić, jak się poczułem. Zrobiło mi się żal tamtych rodaków z sąsiedniego stolika. Wiedźma odskoczyła ode mnie, równocześnie sąsiad odtrącił dość brutalnie Smutną Gnuśność, podniósł wzrok w kierunku wejścia i uśmiechnął się radośnie. Spojrzałem w tamtą stronę. Przez drzwi wchodziła pogodna Pani Zofia, prowadząc swoje trzy córki: Spes, Fides i Caritas — Nadzieję, Wiarę, Miłość.

Myśliciele średniowieczni dobrze znali rodzinę Acedji. Żyli w czasach, kiedy technika nie oddzielała człowieka tak dalece od jego własnej osoby, pędzili życie w środowiskach oddanych kontemplacji a więc takich, gdzie nie można wewnętrznych przeżyć zagłuszyć wzmożoną aktywnością. Nam trzeba było dopiero wstrząsu katastrof wojennych by uświadomić sobie obecność rozkładowej siły smutku.

Po pierwszej wojnie światowej Europa ogarnięta była nastrojem pod nazwą Pląsawicy, nerwowej potrzeby zabaw hałaśliwych i tanecznych, jaka wystąpiła po latach Wielkiej Zarazy. Po drugiej wojnie światowej ogarnął Europę nastrój znany z wcześniejszego nieco okresu a noszący miano Acedii, grzesznego smutku panującego nagminnie. I płacze się ten korowód Acedij i jej czternastu córek monotonnym pochodem od miasta do wsi, od baraku do hostelu, od mieszkania do świetlicy, od baru do warsztatu. Może znajomość córek ułatwi przeciwdziałanie Grzesznej Matce.

Wojciech Wasiutyński

MARIA WINOWSKA

»WSZYSTKA JEJ CHWAŁA OD WEWNĄTRZ«

PRIMADONNĄ współczesnej powieści katolickiej na zachodzie jest niewątpliwie ksiądz. Wypróbowawszy rzemiosła na drobniejszym narybku o pospolitszej psychologii, szanujący się pisarz próbuje złowić tęższego szczupaka i zagiął parol na tajemniczego „bohatera w sutannie", który od wieków intryguje, dziwi, zbiera miłość — lub nienawiść, mimowolny i bezwiedny katalizator ludzkich uczuć, miecz obosieczny, zatknięty w sam miąższ życia, kamień obrazy albo kamień węgielny, chodzący paradoks.

Odkrył go Bourget ,którego dziś na szczęście nikt już nie czyta, w swoim romantycznym „Le Demon de Midi". Żebrak niewdzięczny, samozwańczy prorok, genialny kolekcjoner olśnień, Leon Bloy poświęcił mu najpiękniejsze karty swoich powieści. Huysmans szuka go w mnichu. Dla Mauriac'a jest problemem wciąż otwartym: w narodzinach powołania, tchnących czarem wiosennym pierwszej miłości. (Alain w „Ce qui etait perdu") i jako tragiczny samotnik wpośród świata ,który go nie chce, nie rozumie — i potrzebuje jak ziemia dżdżu („Les anges noirs"). Jest [illegible] i zwornkiem powieści Malegue'a, jednej z najlepszych XX wieku, „Augustin ou le maitre est la". Dla Bernanosa, niezrównanego wizjonera, którego świat zaczyna się na granicy widzialności i rozrasta w bezmiar wymiarami ducha, **jest jedynym** tematem: możnaby zaryzykować twierdzenie, że gdyby nie istniał ksiądz, Bernanos nie zacząłby wogóle pisać, nie miałby może o czym pisać. Trzeba było tak ogromnej prowokacji, jak l'abbe Donissan, żeby przedarł krąg tajemniczego lęku ,którym do 36 roku życia napawał go widok białej kartki papieru... W „L' Otage" i w „Le Pere Humilie" Claudel w konsekrowane ręce kładzie los protagonistów. Największy jego dramat i arcydzieło, „Le Soulier de Satin", rozrasta się jak dąb potężny z malutkiego nasienia modlitwy, rzuconej niebu i morzu nieobeszłemu, na tonącym statku, przez księdza męczennika.

Wymieniam z rozmysłu tylko bardziej znanych pisarzy, ale podobną obsesję stwierdzić można również u mniej wybitnych, nawet niewierzących jak Camus w „La Peste", który ojca Paneloux maluje nam z większą sympatią niż znajomością tajemniczych podniet skłaniających go do ofiary całopalnej. To pewne, że nie są dziś modne w literaturze „skandale zakrystii" i że wiele upłynęło wody od czasów Diderota czy Renana: nawet pisarze dalecy od katolicyzmu mówią o księdzu z szacunkiem i niekiedy starają się lojalnie zrozumieć pobudki, jakie go skłoniły do tak trudnego wyboru..

Ostatnio ksiądz katolicki stał się modny w Anglii. Uwiecznił go Chesterton w słynnym Father Brown'ie.* Graham Green rozpętał istną burzę dyskusji powieścią „The Power and the Glory", której bohaterem jest ksiądz meksykański, moralnie nisko stojący, słaby, nawet tchórz a jednak wierny miłościwej łasce ,która w dzień święceń złożyła mu w ręce nadludzką moc "sacerdos in aeternum". Cieszą się też wzrastającą poczytnością — choć bez rozgłosu skandalu, jak w wypadku Greene'a — doskonałe powieści młodego szkockiego pisarza, który nazywa się Bruce Marshall i jeśli się nie mylę, wśród Polaków jest mało znany.

W niniejszym artykule ograniczę się do omówienia najlepszej jego powieści, opublikowanej z końcem 1944 roku ,która do dziś doczekała się siedmiu nowych wydań w stale rosnących nakładach, p.t. **„All glorious within"**; jest to werset 14 z 44 psalmu, który w przekładzie polskim brzmi: „Wszystka jej chwała od **wewnątrz**".

Powieść ta wpośród dotąd wymienionych bije istny rekord: bohaterami jej są **tylko** księża, z biskupem włącznie. Gdy mówiono mi w Anglii o niesłychanej poczytności tej książki, rozchwytanej przez czytelników różnych wyznań i barwy, pomyślałam mimowoli, że od stu lat wiele się zmieniło na Wyspie...

Rzecz dzieje się w Szkocji. Przymieszki narzecza utrudniają nieco czytanie książki tym, którzy w Szkocji nie byli.

Bruce Marshall zastrzega się na wstępie, że „podobieństwa pomiędzy bohaterami jego powieści i osobami żyjącymi obecnie są li tylko przypadkowe". Naturalnie nikt mu nie wierzy, ale przyzwoitości stało się zadość.

Gdyż postaci jego są nie tylko jak żywe i wyjęte z jakiejś szkockiej kapituły, ale świetnie podpatrzone. Najbardziej miarodajną opinię w tej materii dają sami księża ,których n.b. nie zachwyca zbytnio moda ,stawiająca ich pod obstrzał obserwacji powieściopisarzy i którzy woleliby zstąpić ze świeczników literackich. Znam niejednego księdza, który na Bernanosa kręci nosem i twierdzi, że „proboszcz wiejski" jest wytworem czystej imaginacji i zupełnie nie odpowiada faktom. Oczywiście, dodają, wolno pisarzowi igrać sobie psychologią księdza ,byle nie zapomniał ,że ksiądz jest księdzem. A co mi to za ksiądz, dodają, który nie pamięta o rubrykach i pije po dwunastej, choć rano ma odprawić mszę? Widać odrazu, że pisał laik!

Otóż rzecz znamienna: najdrażliwsi prałaci książce Bruce Marshall'a nie mają nic do zarzucenia. Co najwyżej (w Szkocji) szepczą sobie na ucho uwagi na temat trafności... portretów. Gdyż pozowało mu niewątpliwie mało — wielu, choć zatarł ślady.

Dziwna książka, bez intrygi, bez romantycznego wątku, bez sensacji. Historia księdza Smith'a, od młodości do grobu. Życie księdza, tak napozór jednostajne i banalne, z grozą ciążącej nad nim rutyny we wciąż powrotnych cyklach: chrztów ślubów, pogrzebów. Parafia, jak tyle innych „gdzieś" w Szkocji. Obok księdza Smith'a inni księża, z tej samej czy innych parafij. Na czele biskup. Element niewieści stanowi pare zakonnic i prostytutek. Włoszka Elwira ledwie naszkicowana, którą ksiądz Smith sam ochrzcił, a która została gwiazdą Hollywood'u i przysyła mu dolary na budowę kościoła, no i kapitalna megera, lady Ippecacuanha.

Trzeba było nielada talentu, by ożywić temat tak napozór szary. A może rzeczą talentu było wykazać, że szarzyzna jest pozorem? Bądź co bądź powstała książka, którą czyta się jednym tchem, nieraz ze wzruszeniem, często z uśmiechem. Bo Bruce Marshall ma swoisty, bardzo subtelny humor. Bardziej szkocki niż angielski, dobroduszny, bez cienia złośliwości, nietyle słowny ile sytuacyjny, wynikający ze specyficznej zdolności podpatrywania krotochwilnych ziarnek, które się czają we wszystkim co jest. Zmysł humoru jest warunkiem wytrzymałości na dłuższą metę: w okresach trudnych i przełomowych działa jak wspaniała klapa bezpieczeństwa.

Takich trudnych i bolesnych chwil Father Smith ma w swoim życiu sporo! Najpierw wojna, pierwsza światowa. Nie tyle sama wojna z wachlarzem trudów, mordęgi, ile okres powojenny, który tyle zapowiadał a tak mało dotrzymał: „czy potośmy walczyli i umierali?" Father Smith jest zdecydowanym pacyfistą, choć nie za wszelką cenę, ale zdaje się trudno by mu było udowodnić, że istnieją wojny sprawiedliwe... Za dużo widział moralnych ofiar wojny ,jak Angus Mc. Nab, który umrze pod stryczkiem.

Nie wszyscy jego koledzy myślą podobnie. Dochodzi między nimi do wymiany zdań ,czasami ostrej, choć bez cienia żółci czy zawiści. Każdy jest inny, ma swój własny styl, sposób mówienia, reagowania, lecz wszystkich łączy wspólna świadomość ogromu łaski, która tych „możliwych szewców, krawców czy rzeźników" powołała na zawrotne wyżyny kapłaństwa. Nie są święci, ale pną się jak mogą, wzdłuż stromej ścieżki. Bez cienia uroczystej pozy czy koturnów okolicznościowych pełnią swoje obowiązki, chrzczą, spowiadają, nawracają, przygotowują na śmierć. Tylko ludzie — i dysponujący skarbem bezcennym. Bardzo pokorni w swojej wielkości. Bezpośredni, ujmujący, konkretni.

Kto z nas nie widział zziajanego księdza? Trzeba jednak było subtelnego pióra Bruce Marshall'a, żeby nam unaocznić, ile poświęcenia, hartu ducha, cierpliwości i kto wie? może humoru wymaga taki jeden choćby dzień, w służbie zawierzonym owieczkom, z których mało która wydaje się warta zawrotnej ceny, „pretium magnum", jaką zapłacił za nie Bóg i swoim naśladowcom płacić każe. Grając na źródłosłowie ,powiedział jeden z mistrzów duchowych Francji: „il faut aimer le prochain bien qu'il soit rarement aimable' (trzeba miłować bliźniego, chociaż rzadko jest miły). Któż sprawdza częściej i że tak powiem bardziej zawodowo tę niewspółmierność glinianego garnka ze złożonym weń skarbem jak nie ksiądz, wydany mu na łup? „Le pretre est un homme mangé" powiedział ojciec Chevrier. "ksiądz to człowiek pożerany żywcem".

Powieść zaczyna się w roku 1908. X. Smith ma blisko 40 lat i tłucze się od rana do nocy po wyboistych drogach, od osiedla do osiedla, w posłudze rzadko rozsianych parafian. Jako środek lokomocji ma **tylko rower**. Właśnie jedzie binować do miasteczka, w którym nie ma **kościoła katolickiego i msza odprawia się co niedzieli w baraku specjalnie wynajętym** na ten dzień, na targu owocowym. Dach jest dziurawy ,pada deszcz i wierni siedzą pod parasolami. Na deskach ogrodzenia widnieją szpetne napisy pod adresem **„papistów"**. Zakrystian ostrzega księdza ,że jakaś heretycka bojówka przygotowuje „grubszą awanturę". Trudno odpowiada X. **Smith, asykany chronią nas od zardzewienia. Na tym** właśnie polega sens prześladowań: przypierają nas do muru i uczą być w formie. Nie nienawiść lecz rutyna jest najgroźniejszym wrogiem Kościoła Bożego".

Zakrystian ,stary marynarz na emeryturze, nie zupełnie jest przekonany: „Co jak co, powiada, aż mnie ręka świerzbi, żeby zdzielić Archie Tomson'a (szefa bandy) sążnistym kuksańcem w łeb („a guid bang on the heid").

Podczas mszy miss O'Hara produkuje swój mieszany chór, którego gregoriańskie improwizacje przypominają w szczytowych momentach „kwik konającego prosięcia". Ale Pan Bóg, myśli ksiądz, napewno się nie gniewa ,bo przecież ci biedacy fałszują z całego serca...

Za motto kazania bierze werset psalmu, który da tytuł całej książce: „Wszystka chwała jej, córki królewskiej, **od wewnątrz...**" X. Smith nie jest urodzonym kaznodzieją. Jego parafia składa się z włosko-irlandzkiej biedoty, „raczej bezmyślnej". Za ścianą baraku ulicznicy wyśpiewują najmodniejsze szlagiery. Zażywne przekupki rozsiadły się wygodnie i bez żadnej żenady odmawiają różaniec, podzwaniając paciorkami. Jakżeż wpoić ("ram home") w tak niewdzięczne audytorium „złociście obramowaną chwałę królewskiej córy".

— Musimy dziękować — mówi ksiądz — za powszechność Bożego Kościoła. Trudno nam może, bracia najmilsi, uzmysłowić sobie w tej podłej szopie ,na brudnym targowisku, w smutnej, oderwanej od Kościoła Szkocji, że naszym kultem wiarą i nauką stanowimy jedno z rzeszami, skupionymi w najwspanialszych katedrach Europy. Ani biskup w Chartres ,ani kardynał w Burgos czy w Warszawie, ani nawet sam Ojciec święty nie zamienią skuteczniej chleba w Ciało Chrystusowe i wina w jego przenajdroższą Krew niż ja, wasz proboszcz nie godny. Myśl ta winnaby napawać nas dumą i pokorą; dumą — gdyż my jedni jesteśmy wierni wielkiej, europejskiej tradycji i wysławiamy się według zdrowych zasad gramatyki Panabożej; pokorą, gdyż sami z siebie nie zrobiliśmy nic, żeby zasłużyć na tak wspaniały przywilej"...

Father Smith wie doskonale, co chce powiedzieć ,lecz jak tu trafić do uwagi i serca tych prostych ludzi, którzy słuchają z wybałuszonymi oczyma i pewnie myślą o czym innym? „Nie ma chyba trudniejszej rzeczy pod słońcem, jak zarazić innych ogniem, który płonie w naszej duszy ,choćby nawet był to Boży ogień..."

Dla księdza Smith'a każde kazanie jest istnym przeżyciem i czuje się bezpieczny dopiero, twarzą do ołtarza pod skrzydłami nieomylnych słów.

Po mszy musi ochrzcić dwoje niemowląt (nie domyśla się oczywiście, że chrzci przyszłego biskupa i gwiazdę filmową!). Wraca galopem, głodny jak wilk, lecz oto wzywają go na gwałt do umierającego marynarza ,którego kostucha przyłapała w lokalu nader wątpliwej reputacji. Ale Father Smith nie waha się zanieść mu wiatyku, bo wie, że „Pan Jezus odwiedzał za życia jeszcze podlejsze nory" i że „prawdziwi grzesznicy wiedzą ,jak go uszanować". Na pachnącym lepkimi perfumami korytarzu dygają i żegnają się wesołe panienki, srodze przepędzane przez matronę. Marynarz nie spowiadał się od trzydziestu [illegible] jest zgoła skruszonym nastroju: Jeden więcej pojedynek między księdzem i grzesznikiem, pod osłoną wszystko możnej łaski! Wypluł nareszcie, z nieopisaną ulgą, nagromadzone plugastwo: śmierć nie przyszła jak złodziej, utuliła jak matka: gdy wszyscy odbiegli, zawiedli, znalazł się przy nim, w najsamotniejszej godzinie, przyjaciel nieznany i niezawodny: — ksiądz.

Jak wielowątkowa uwertura, pierwszy rozdział wprowadza nas w żarliwy klimat książki. Groteska i piękno strzeliste przeplatają się i uwypuklają nawzajem, jak kamienne dziwotwory w gotyckich katedrach ,sąsiadujące ze smukłą ciżbą świętych. Father Smith ma jedną wadę: jest poetą. Nosi w duszy przekonanie, że lud „o wiele bardziej potrzebuje poezji i modlitwy, niż meczów footbalowych". Gromi bez pardonu „gangsterów żerujących na krwi ubogich" jak potworne, końskie muchy. Z nietajoną satysfakcją przypomina bogaczom niezbyt pochlebne aluzje, jakich nie szczędzi im ewangelia. Lata płyną, prószą mu włosy siwizną, ale spośród mnożących się zmarszczek patrzą prosto oczy wciąż młode: codzień wstępuje do Boga po nowy eliksir młodości.

Lata monotonne i wciąż nowe! Father Smith — może dlatego potrosze, że jest także poetą? — nie przyzwyczaił się nigdy. I dlatego miewa czasami kazania rewolucyjne, które wprawiają w lekki popłoch bardziej ustatkowanych konfratrów. Jak wówczas, gdy ich zaklina ,żeby posługiwali się energiczniej materiałem wybuchowym, jakiego dostarcza im Kościół, choćby tylko w sakramentach, „tych spluwach Ducha świętego, które precz wydmuchują grzech..."

W galerii kapituły są okazy nielada, opisane z humorem maskującym łezkę wzruszenia. Bo jakżeż tu się nie rozczulić Monsignorem O'Duffy, który woli piłkę nożną od Szekspira, pije herbatę ze spodeczka (żeby prędzej wystygła), trąbi na kapitule w olbrzymią czerwoną chustkę, musztruje penitentów jak rekrutów, uplastycznia im piekło z niesamowitą precyzją i ma serce takie złote, że gdy w końcu mu się zemrze na starość, całe miasto łącznie z heretykami, chlipiąc, pójdzie za trumną. Albo mistrz ceremonii kanonik Bonyboat, który kocha się w rubrykach i jeden wie, kiedy, jak i dlaczego przyklęknąć podczas uroczystych nabożeństw z rozliczną asystą, gdy niejeden prałat traci głowę i czeka, by mu ktoś szepnął, co ma dalej robić. Albo sam biskup, który jest pasterzem ubogich i „tak jak wszyscy szkoccy biskupi, bardzo prosto i pokornie sprawuje swój urząd, nie jako przywilej, lecz jako odpowiedzialność". Dla oszczędności sam sobie kucharzy, a gdy podczas wojny zabraknie robotników, razem z kanonikami zabiera się do wykończenia jednego z kościołów: bardzo mu przykro, gdyż miewa zawroty głowy i nadaje się tylko do mieszania zaprawy murarskiej dla kapituły hasającej po rusztowaniach... A gdy i jemu umierać przyjdzie zostawi „dzieciom" w testamencie serdeczną przestrogę, żeby odświeżali słowa; w których głoszą prawdy Boże", żeby unikali przymiotników sterotypowych, „które nikomu już nic nie mówią" żeby zwalczali rutynę i apatię ,która zżera dusze jak rdza, żeby przepowiadali dobrą nowinę nie tylko tym, którzy chcą jej słuchać, ale również tym, którzy nie chcą... i żeby nosili krzyż Chrystusowy w życiu codziennym..."

Od chwili gdy spotkaliśmy po raz pierwszy Father Smith'a na targu owocowym minęło przeszło trzydzieści lat. Rozgorzała druga wojna światowa ,zaroiło się w Szkocji... od Polaków. Początek rozdziału XXXIII poświęca im osobliwe memento:

— „Nowy biskup — czytamy — wykalkulował, że od czasu przybycia Polaków frekwencja najpopularniejszego z grzechów śmiertelnych wzrosło o 234.75% bardzo proszę redakcję ŻYCIA o ścisłe przekazanie tej cyfry), wobec czego udzielił polskim kapelanom wojskowym jak najdalej idących jurysdykcji uprawniających ich do spowiadania we wszystkich kościołach i kaplicach. Kanonik Smith był z tego szczególnie rad, gdyż nie bardzo był pewien, czy jego nowi penitenci rozumieli jego upomnienia klarowane po francusku, a to od dnia, gdy pewien polski major, któremu świeżo dał absolucję, oświadczył mu we drzwiach kościoła: „Moja dziewczyna będzie mieć dziecko, bardzo się z tego cieszę. A po wojnie moja żona też napewno się ucieszy ,gdy przywiozę jej bachora i powiem: „patrz, Wanda mam prezent dla ciebie"... Tłumaczę cały ten fragment dosłownie, celem ewentualnego sprostowania...

Na kościół, budowany od lat, z takim trudem i z asystą biskupa i całej kapituły pada w roku 1942 bomba zapalna . X. Smith ratuje Najświętszy Sakrament, lecz doznaje przytem tak srogich poparzeń, iż i jemu przychodzi pożegnać ten świat.

„Gdy tak leżał, nagle znalazł odpowiedź na wszystko: jak to chromi i chorzy zostaną uzdrowieni, a ubodzy dostąpią nagrody... Że bankier może być ostatni, a prostytutka pierwsza; że ręka kapłana nie myli się nigdy, jakkolwiek jałowe bywały jego słowa; że Kościół od wewnątrz jest wszystek chwalebny, jak korab, ładowny skarbem bezcennym, który leczy wszystkie skazy; i dlaczego Pan Bóg nieraz wybiera ludzi lichych i nieporadnych, do spełniania posług anielskich; czemu Bóg jest cierpliwy i ksiądz winien być też; jak wielkie jest jego powołanie i niezawodne namaszczenie; i że szczęśliwość jutrzejszego świata zależy od cichej odpowiedzi, jaką każdy da Chrystusowi w głębi własnej duszy. Wszystko to było naprawdę takie proste i chciał im to jeszcze powiedzieć przed odejściem, ale już zaczął odbijać od brzegu i miał jeszcze tylko na tyle czasu żeby zawołać do polskiego kapelana:

„Nie zapomnij dać im znać że w niedzielę będzie msza na targu owocowym!"

Maria Winowska

(OD REDAKCJI: Przepraszamy Czytelników za brak francuskich akcentów w tym artykule)

*) Wkrótce ukaże się w ŻYCIU opis spotkania i rozmowy C. Wodzińskiego z żyjącym do dziś Księdzem ,który był prototypem Chestertonowego Father Browna RED.

ANATOL KRAKOWIECKI

DOKOŃCZENIE

ZJAZD MATURYCZNY

DWA miesiące wakacji i dwa miesiące 8-ej klasy. W czasie wakacji policja austriacka aresztowała prywatną P.O.W. braci Pitułów z Prokocimja i zanosiło się na austriacki „proces polityczny". Ostatecznie jednak Pitułów wypuszczono jakoś na wolność. I pomyśleć, że siedzieli oni na autentycznej ulicy Monte Lupich! O tempora, o mores- Inne prywatne POW działały dalej niestrudzenie, choć nieco ostrożniej. Tak na dobrą sprawę nikt się potym nigdy w tych POW-ych wyznać nie mógł...

Ostatecznie — gdzie tu był czas na naukę? Kilku uczniów uciekło „do Kongresówki" do wojska polskiego, czyli dokładniej: do Wehrmachtu. A potym to gremjalne wstąpienie do wojska 2. listopada 1918. Wszyscy inni z maturą, piszący te słowa — bez. Piszący te słowa, dzisiaj, zestarzawszy się, gotów przyznać, że sprawa była w największym porządku z sumieniem — co prawda z sumieniem śp. Kranza.

To nie były dzisiejsze czasy, kiedy wszystko się wlecze w nieskończoność, to były czasy błogosławione! Czasy szybkich wypadków i szybkich awansów. Wspomnienie skali wypadków raczej rozśmiesza, wspomnienie awansów rozrzewnia. O, wtedy nie było „leśnych dziadków", nikt nie zawadzał — awansowało się piorunem, czasem trzeba się było wypraszać, bo to tak trochę bezwstydnie wyglądało. Naprawdę nie łżę.

Dynamika wypadków sprawiła, że podpisany 22 listopada już był ranny pod Niżankowicami. Szpital w Przemyślu i w dwa czy trzy dni potym szpital „pod Baranami" w Krakowie. Przepustka do Mamy — Franek Lelek pełnił funkcję w tym szpitalu, — opatrunki na klinice uniwersyteckiej. „Pod Baranami" można było brać prowiant, jeśli by komu na tym zależało, ale w Skawinie pieniędzy wprawdzie nie było, za to jedzenia nie brakło — chodziło się więc tylko po żołd. Ramię obandażowane, ręka przykrępowana do tułowia, na zewnątrz zwisa pusty rękaw płaszcza. Obrzydzenie dziś bierze, ale jak w takich warunkach młodzieniec, który ma osjemnasty rok, potrafi się nie zgrywać? Zgrywał się.

Bronja właśnie latała do Bukowia ze skargami na trzeci zawód miłosny, kiedy młodzieniec postanowił pokonać ją, przygwoździć swoją wyższością, zmiażdżyć. Wobec tego z pustym rękawem i z pustym łbem zasiadł do matury. Ale Kranz był bezlitosny: wynik napisany powyżej. Dziś bym to pewnie zwalił na sprawy polityczne, ale wtedy nie było to jeszcze w modzie.

Pozostało jedno wyjście: kula w łeb! Ani Kranz, ani Bronia nie mogą mieć satysfakcji! Co prawda życia żal, a „Steyer — 7.65" ukradziony. Nie ma z czego. Do tego ręka wydobyta właśnie z powijaków, ale prawie nieruchoma. Można ją podnieść najwyżej do brody i to czołgając ją, czyli posuwając po brzuchu i wyżej. Oddalona od tułowia, opada bezwładnie. Jak tu się zastrzelić? Mowy nie ma.

Sytuacja straszna, matury nie ma, a Mama jak na złość, — że to Marysia Ludwikowska bardzo podrosła i wyładniała w ostatnich miesiącach, że już prawdziwa panna. Tu należy cierpieć z powodu Broni, a Mama wyjeżdża ze smarkatą Marysią.

Wyjaśniła tę sprawę dopiero interwencja Kazia Chwiruta — co prawda pośrednio.

Kazio: — Powinieneś się przenieść do ułanów.

Ja: — Dlaczego?

Kazio: — Bo inteligentny młody człowiek może służyć tylko w kawalerji.

Ja: — Inteligentny? Dopiero co ulałem z matury.

Kazio: — Tymbardziej, tylko kawalerja cię zrehabilituje...

Udaliśmy się na Zakrzówek, gdzie stał szwadron Kazia. W stajni śmierdziało. Popatrzyłem okiem starego łazika. Przecież to trzeba czyścić. „To" oznaczało generalnie konia i stajnię. A ja dostawałem dreszczów na myśl, że buty trzeba czyścić.

Ja: — Nie, mój drogi. Ostatecznie ktoś musi zostać w piechocie (cedzę oziębłe:) moja mentalność nie nadaje się do kawalerii.

Ten szczegół traktuję, jak bardzo jasny promień słońca, który przedarł się przez tumany młodzieńczej tępoty. Do dziś dnia moja mentalność nie nadaje się do kawalerii. Co prawda, dziś już wiem, że niestety i do piechoty również.

Zakasiliśmy coś — nie — coś u Drobnera i tam dopiero znalazłem wyjście z dramatycznej sytuacji:

— Mam dwa wyjścia: albo się zastrzelić, albo zdezerterować.

Następnego dnia zdezerterowałem. Pożegnałem rodziców, wziąłem pokaźną pakę produktów do jedzenia i przybywszy do Krakowa udałem się do Stacji Zbornej 5. p. p. Leg. Chociaż „karty mundurowe", „karty zaopatrzenia" i t.p. szatańskie pomysły zaczęły już funkcjonować, już wieczorem tegoż dnia jechałem w stronę Warszawy. Co prawda wybierałem się do Radymia, czyli w przeciwnym kierunku, ale nic nie miałem przeciwko Warszawie, która zresztą była tylko etapem w drodze do Ostrowa-Komorowa.

Zaostrz, Czytelniku, fantazję! Sytuacja: Szpital „pod Baranami", płacenie żołdu. Poszukiwania. Krakowiecki? Nie, nie był, dawno go nikt nie widział. Nie, nie sypia tutaj, sypia u matki w Skawinie. Nie, prowiantu nie bierze, oddaje zawsze komuś. Na co chory? Ręka. Jeszcze ze trzy miesiące będzie miał bezwładną rękę. Potrzebny masaż i naświetlania...

Młodzieniec siedzi w Ostrowie-Komorowie, przetapia smalec amerykański z cebulą, a w Krakowie mistrzowska dłoń linjuje artystycznie kartkę papieru i wypisuje rubryki. Na górze wielki tytuł:

„KARTA DEZERCYJNA".

Młodzieniec wsiada do pociągu i wysiada w Skrzybowcach. Przy ładowaniu sprzeczka towarzyska. Małe nieporozumienie. Zbyt grube słowa, uderzenie w klatkę piersiową. Któryż to młodzieniec wytrzyma takie rzeczy? Młodzieniec, świeżo upieczony kapral? Czy wytrzyma, pytam? Nie wytrzyma!

Krew zalewa oczy z wściekłości. Prawa ręka unosi się, prawa pięść wali w łeb napastnika, prowokatora, który zatacza się i pada. Bez masażu i bez naświetlania. Myślicie, że żartuję? Jak pragnę Kraków zobaczyć! Trzy miesiące leczenia? Ułamek sekundy. Po prostu chwila roztargnienia.

Gdy młodzieniec dociera do Bieniakoń, karta dezercyjna już jest wypełniona, czeka na podpis i nabiera Amtskraftu. W Wielką Sobotę młodzieniec jest już w Wilnie, a karta dezercyjna? Pal ją diabli! Nie zginie. „Otrzymała bieg urzędowy".

Potem pierwszą dywizję przemianowano na drugą, a drugą na pierwszą. Wobec tego ja jestem w pierwszej, a Józek Warchałowski w drugiej. Ponieważ jestem kurierem, jadę do Mołodeczna.

— Warchałowski? Był, ale wyjechał do Warszawy do podchorążówki.

Przecież cała klasa poszła do wojska. Nie, nikt nie zginął na wojnie, nikt nie został zabity. Ani jeden z 36 chłopców.

Wojna się skończyła.

Pewnego dnia Józek spotkał mnie na Plantach, wziął pod rękę i powiedział:

— Chodź do nas. Matyasik poszukuje pracownika.

— Z byka spadłeś? Nie znam się na tym.

— Chodź, co ci to szkodzi? Nie bój się, nie będzie się krępował. Jak się nie nadasz, straci cię ze schodów. Honorowo.

Poszedłem, choć kolana się pode mną uginały ze strachu. Jąkałem się. Wobec N.K.W.D. się nie jąkałem, a tam... Doszedłem do „Głosu Narodu" na ul. św. Krzyża i już tam zostałem na kilka lat. Tak zostałem dziennikarzem.

Naprzód poszedł Matyasik, a potem wylano mnie. Ksiądz Piwowarczyk mnie wylał. Nie powiem, żebym miał pretensję. Zacząłem pracować w „I.K.C." zanim w „Głosie Narodu" skończył mi się okres wypowiedzenia, łyknąłem wobec tego dwie gaże.

Kiedy Mama umarła, ks. Piwowarczyk przyjechał do Skawiny, śpiewał egzekwie i prowadził kondukt żałobny, choć księży było ze dwudziestu.

Znów minęło kilka lat. Spotkałem pewnego dnia Józia Warchałowskiego na Plantach, co prawda w innym miejscu. Wziąłem go pod rękę:

— Józefie-Staruszku (tak się mówiło do niego jeszcze w gimnazjum) Miarian Dąbrowski akurat „szuka człowieka".

Marian Dąbrowski całe swoje życie szukał (prawdopodobnie szuka dalej) człowieka, dlaczegożby akurat w danym momencie miał zaprzestać tej pasjonującej czynności? „Głos Narodu" się zaś walił. Wypłacano groszę. A Józek miał żonę i troje dzieci — położenie niewesołe. Już jako żonaty i dzieciaty zrobił doktorat prawa.

Kiedy przyszedłem do redakcji IKaCa, siedział za tym biurkiem Sylweriusz Chmurkowski. „Sylwek-Cmentarnik", mawiał o nim Stanisław Stwora. Przychodził rano do redakcji trzeźwiusieńki, nigdzie nie wychodził, a popołudniu porządnie go znosiło. Przynosił zawsze z sobą termos z czarną kawą. Stwora przysięgał, że w termosie znaduje się 3/4 litra koniaku, a 11 kropel czarnej kawy. Co prawda kropel nie liczyłem, ale wydaje mi się, że coś na rzeczy było. Z tym wszystkim był to znakomity dziennikarz. Umarł.

Potem przyszedł Kordys, dr Roman Kordys. Dwa metry z czymś, taternik, alpinista, były naczelny „Słowa Polskiego" we Lwowie. Naukowiec, znakomitość. Popracował kilka lat i umarł.

Następca jego sprawił to, że „Marian" energiczniej, niż normalnie, „szukał człowieka". Józek usiadł na tragicznym miejscu. Nie, nie bawię się w żadne babskie emocje, opowiadam, jak było.

Gdzieś na wiosnę 1939 roku Józek mnie zagabnął:

— Teraz, w czerwcu, przypada symboliczna rocznica naszej matury.

— Jeśli idzie o mnie, to właśnie 18 czerwca przypada autentyczna rocznica.

— Jakto?

Musiałem przypomnieć szczegóły, bo przecież cudze sprawy nie tak bardzo się zapamiętywa.

— Tymbardziej — powiada Staruszek — że wszyscy powinnijśmy być w tym terminie zdawać maturę. Robimy zjazd maturyczny! —

Uradzaliśmy kilka dni pod rząd. Nic z tego nie wyszło. Zaczęło się bowiem od obrachunku. Nazwisko po nazwisku. Sprawdzaliśmy mozolnie. Rachunek był zadziwiający:

— Żyją z katolików: Krakowiecki, Ślżyński, Tokarz, który robi karierę wojskową, Warchałowski, który jest tutaj i Wodelski, dyrektor prowincjonalnego oddziału Banku Polskiego. Pięciu. Reszta nie żyje. A Żydzi? Żyje ich szesnastu...

Nie, nie ma antysemityzmu w tym obrachunku. Jest zupełnie co innego. Przecież napisałem, że wszyscy poszli do wojska i że nikt nie został zabity na wojnie, na tamtej wojnie. Tylko, że po wojnie chłopcy zaczęli umierać. Przeważnie suchoty. Wiadomo — dzieci proletariackie. Wiadomo — dzieci chłopskie. Jak długo mógł żyć człowiek, który o czwartej rano wstawał a o szóstej wieczorem wracał do domu? Uczeń celujący. Kiedy miał czas na naukę, jeśli potem jeszcze musiał choćby trochę popracować „koło obejścia"? A już Bóg raczy wiedzieć, jak, kiedy i co jadał? A jego zimy, jesienie, marce i kwietnie na ścieżce Sosnowiec — Wielkie Drogi?

Kończyli się już po wojnie, dzieci wsi i dzieci przedmieść, synowie bocznych uliczek. Było kilka wypadków, że kończyli się już po wszystkim, już po osiągnięciu dyplomów na Uniwersytecie, że wspomnę Władka Lichaja.

Pojechałem w 1936 roku do Podgórza tramwajem. Byłem w budzie — tak mnie tam zaniosło. Mówiłem z jakimś belfrem i nawet nie wiem, jak brzmiało jego nazwisko. Bez żadnej złowróżbnej myśli zapytałem o klasę VIII-mą. Czyje dzieci? Owszem synowie robotników, kolejarzy. Dwadzieścia procent. Czterdzieści synowie urzędników, czterdzieści Żydzi. Ani jednego syna chłopskiego. To chyba lepiej, to chyba bardzo dobrze? Jeździć, pchnąć się, uczyć — ażeby umrzeć po uzyskaniu dyplomu?

Nie mówiliśmy już więcej z Józkiem na ten temat. Obeszło się bez zjazdu maturycznego.

Świat przekręcił się, jak kołowrotek. Przyjechałem do Iraku. Byłem współzałożycielem i współredaktorem „Kuriera Polskiego w Bagdadzie". Codziennie w południe ulicą Al Raszyda, wśród pódcieni, biegli chłopcy arabscy, gołe dupiny wystawiając na wiatr i krzyczeli:

— Kurier Polski! Kurier Polski w Bagdadzie! Daj, krasy byku, piętnaście milsów...

Co prawda, tam było gorzej, niż „krasy byk" krzyczane. A „Kurier" kosztował oficjalnie 12 milsów.

Na pustyni koło Kizil Ribat, Dżaluli, Kanakinu, Kirkuku na rowerach uježdżali podobnie wystrojeni chłopcy. Zionęli całym repertuarem najcięższych polskich słów — na dowód, jakie są talenty pedagogiczne Polaków.

Pojechałem pewnego razu „na reportaż" do Centrum Wyszkolenia Armii. Siedziałem między innymi na wykładzie w olbrzymim namiocie, szczepionym z kilku namiotów. Wykładał starszy strzelec, a w pierwszym rzędzie siedzieli słuchacze: podpułkownicy, majorowie. Kapitanowie oczywiście w dalszych rzędach. Starszy strzelec był „w cywilu" docentem Politechniki Lwowskiej...

Potym, w nocy już, rozmawiałem długo z podpułkownikiem Kurkiem.

— Józek we Wrześniu włożył mundur i poszedł zameldować się do K.U. Muszę tu zaznaczyć, że Warchałowski był podporucznikiem rezerwy, skwapliwie pilnował ćwiczeń, pilnie uczęszczał na jakieś zadziwiające wykłady.

— Nie przyjęli go. Wobec tego pojechał do COP-u...

Historia krótka. „Staruszek" miał na sobie mundur, a w sobie odwagę. Ponieważ był w mundurze, zaczęli się dookoła niego gromadzić ci, co to po całej Polsce szukali Komend Uzupełnień. Józek stał się dowódcą. Miał nawet broń, bo dość jej leżało w rowach. Stoczył pod Kolbuszową bitwę, regularną bitwę. W następnej został ciężko ranny. Przewieziony do szpitala w Rzeszowie, stamtąd do kliniki uniwersyteckiej przy ul. Kopernika w Krakowie. W styczniu 1940 umarł, krzycząc z bólu.

Pułkownik Kurek mi to opowiadał, jako świadek śmierci Józka. Był bowiem szwagrem Józka, ożeniony z rodzoną siostrą jego żony. Dopiero potem wyszedł z Krakowa. I poległ. Pułkownik Kurek poległ we Włoszech...

Cóż mam jeszcze dopisać? Rachunek: katolicy — Żydzi również tymczasem się wyrównał. Co u katolików sprawiały suchoty, to u Żydów Niemcy.

Może się jeszcze któryś odnajdzie? Ale chyba jest nas w tej chwili już nie więcej, jak trzech, a napewno dwóch. Ten drugi jest, zdaje się również tutaj, na Wyspach. Ale — my się gniewamy. Od trzydziestu z górą lat. Powiedzieć nie umiem o co poszło, bo to przecież było jeszcze w samym środku tamtej wojny. Ale my nie ustąpimy. Trzeba mieć charakter!

Notatka dziennikarska: „Dnia 18 czerwca br. odbył się zjazd maturyczny byłych uczniów klasy VIII-mej gimnazjum 6-go w Krakowie (na Podgórzu) z roku szkolnego 1918-19. Z żyjących do dnia dzisiejszego zjawiło się 50 procent..."

To znaczy — ja.

* * *

Obym się mylił!

Anatol Krakowiecki.

ZAPISKI LONDYŃSKIE

Brytyjskie wydarzenia kulturalne ostatniego okresu

NOWE WYDANIA DZIEŁ CHESTERTONA

Nakładem firmy Hutchinsona w Londynie ukazało się nowe, dziewiąte z rzędu wydanie autobiografii G. K. Chestertona („Autobiography of G. K. Chesterton“, cena 12 s. 6 d.), która po raz pierwszy pojawiła się wkrótce po śmierci wielkiego pisarza, w r. 1936. Nowe wydanie, podobnie jak wydania poprzednie. zawiera szereg doskonałych fotografii Chestertona z różnych okresów jego życia.

Niemal równocześnie, nakładem firmy Faber and Faber, wyszło nowe wydanie książki Chestertona o pierwszym wybitnym pisarzu angielskim, Chaucerze („Chaucer“, cena 12 s. 6 d.). Jest to jedna z najświetniejszych prac Chestertona z zakresu historii i krytyki literatury, godna stanąć obok jego dawniejszej książki o Dickensie.

Trzy najlepsze powieści Chestertona: „The Napoleon of Notting Hill“, „The man who was Thursday“ i „The Flying Inn“, pojawiły się znowu razem w tomie p.t. „A G. K. Chesterton Omnibus“ (czwarte wydanie, Methuen, cena 10s. 6d.).

W „Everyman‘s Library“, pod nr. 913, ukazoło się nowe wydanie tomiku „Stories, Essays and Poems“ G. K. Chestertona, zawierające wybór nowel, szkiców i poezji znakomitego pisarza.

FILOZOFIA POLITYCZNA ŚW. TOMASZA Z AKWINU

W cyklu „Blackwell‘s Political Texts“, wydawanym przez znaną firmę B. Blackwella w Oksfordzie, pojawił się wybór pism politycznych św. Tomasza z Akwinu (Aquinas Selected Political Writings“, cena 9s. 6d.). Dobrego tłumaczenia dokonał J. G. Dawson, przedmowę napisał A.P. D’Entreves, profesor studiów włoskich na uniwersytecie oksfordzkim.

Znany publicysta katolicki Arnold Lunn, pisząc o ukazaniu się tej książki, podkreśla, że św. Tomasz zdawał sobie dobrze sprawę, iż natura ludzka ulega łatwo skorumpowaniu przez władzę, i dlatego był zwolennikiem rozdziału władz i ich decentralizacji. W wyniku tego wypowiadał się za systemem mieszanym, w którym łączyłyby się zasady monarchii, demokracji i arystokracji. Lunn przytacza też poglądy św. Tomasza na własność prywatną, której był on zdecydowanym zwolennikiem, pod warunkiem, że zaspokoi ona, przez właściwy podział, potrzeby wszystkich ludzi.

„MASTER MARINERS“ KU CZCI CONRADA

Do Anglii przywieziona została w tych dniach cenna pamiątka po Józefie Conradzie Korzeniowskim: koło sterowe żaglowca „Otago“ — pierwszego statku, na którym Conrad pełnił funkcje kapitana. Nominację na kapitana „Otago“ Conrad otrzymał w styczniu 1888 r.; pierwszą podróż w tym charakterze odbył z Bangkoku w Syjamie do Melbourne w Australii. Wrażenia z tej podróży opisał w powieści „Smuga cienia“ („The Shadow Line“), mającej charakter wybitnie autobiograficzny, Z okresem jego kapitaństwa na barce „Otago“ związane są też nowele „Falk“, „Ukryty sojusznik“ i „Uśmiech szczęścia“; pełne sentymentu wzmianki o „Otago“ spotykamy nadto w „Zwierciadle morza“. W kwietniu 1889 r. Conrad opuścił swe stanowisko kapitana „Otago“, zmuszony był bowiem udać się do Europy dla załatwienia spraw rodzinnych z wujem Bobrowskim. Właściciele statku, firma Henry Simpsons and Sons, w piśmie, przyjmującym jego rezygnację, wyrazili wysoki podziw dla uzdolnień, jakie Conrad wykazał w charakterze kapitana.

W późniejszym swym życiu Conrad był przekonany, że żaglowiec „Otago“ dawno już poszedł na rozbiórkę. Okazało się jednak, że „Otago“ uniknął tego losu i został trwale zakotwiczony u brzegów Tasmanii na tzw. „cmentarzu statków“ na rzece Derwent. Kiedy dowiedzieli się o tym dwaj amerykańscy wielbiciele Conrada: William Hall i znany pisarz Christopher Morley, postanowili sprowadzić koło sterowe „Otago“ jako pamiątkę do Ameryki. W r. 1946 Hall udał się do Tasmanii i stamtąd koło przetransportował do Nowegu Jorku. Obecnie koło to przywiezione zostało na statku „Media“ do Anglii pod opieką Christophera Morleya i kapitano „Medii“ James Quayle’a. Po przybyciu statku do Liverpoolu przekazali oni to koło Sir Davidowi Bone, który ongiś jako marynarz przyjaźnił się z Conradem. Sir David Bone pamiątkę tę oddał z kolei brytyjskiej organizacji kapitanów marynarki handlowej, czyli tzw. Master Mariners. Pełny tytuł tej organizacji, mającej bardzo stare tradycje brzmi: The Honourable Company of Master Mariners; siedziba jej znajduje się na statku „Wellington“, stale zakotwiczonym przy Victoria Embankment w Londynie. Koło sterowe barki „Otago“ umieszczone będzie w muzeum organizacji, przy Temple Stairs...

W związku z tą uroczystością pismo „John O‘London‘s Weekly“ (w numerze z dn. 19 sierpnia) ogłosiło artykuł Christophera Morleya pt. „Conrad 25 Years After“. Morley wypowiada w nim pogląd, że Conrad w niektórych swych utworach, jak np. w „Jądrze ciemności“ stworzył typ literatury, której krytycy współcześni nie są jeszcze w stanie w pełni zrozumieć ani ocenić.

PAPIERY PO BOSWELLU

Prasa angielska notuje z zainteresowaniem fakt, że papiery po znakomitym biografie angielskim Jamesie Boswellu (1740 — 1795), autorze życiorysu dra Johnsona, przeszły obecnie w ręce Yale University w Stanach Zjednoczonych. Mają być one wydane drukiem przy współudziale komitetu doradczego, złożonego z uczonych brytyjskich i amerykańskich. Znajdują się wśród nich diariusze, rękopisy różnych niewydanych utworów i listy Boswella oraz jego przyjaciół.

ŻYCIE AKADEMICKIE

WAKACJE

WAKACJE, jak świat światem, to słońce, wyjazd, woda, czasami rower, wędrówka; to odpoczynek plus radość. Radość po skończonym roku pracy, radość z nic nie robienia, z odpoczynku i nawet radość z niczego, sama z siebie.

Bo wakacje to okres radości. Nosimy ją w sobie. Znajdziemy we wszystkich wakacyjnych opowiadaniach i przenikać będzie bez wątpienia wszystkie sprawozdania wakacyjne. Bo radość związana jest z młodością, a młodość do nas należy.

I rwie się me serce do tej wakacyjnej beztroski i chciałoby nanieść jej tyle na tę stronę, by była jak dzień wakacyjny — słoneczna i roześmiana. Ale — obowiązek redakcyjny nakazuje brać się do felietonu bardziej racjonalnie. Żyjemy w takich czasach, że i na radość robimy zamachy. Staje się ona potrzebna. —Był rok pracy — nadszedł odpoczynek potrzebny dla roku następnego. Wakacje się skończą i trzeba będzie zdać sprawozdania (redakcja też czeka) z tego, co się zrobiło w tym czasie. I w tym sęk! Odpoczynek okazuje się też być pracą, inną coprawda, ale...

Bo do beztroski wakacyjnej należą i praktyki, i obozy przeróżne, choćby mierniczy, i farmy N.U.S.‘u. Nawet wyjazdy niektórych szczęśliwców zagranicę to też dokształcanie się w swoim rodzaju. Obozy wypoczynkowe też mają przeważnie jakiś aspekt naukowy. Gdzież więc odpoczynek? Jest, a nie ma go właściwie.

Próbowałem już coś niecoś zwalić na dzisiejsze czasy. A tu muszę wrócić do czasów niedawnych — do lat wojny. Mówi się o nich: lata stracone... Może. Zostaje fakt, że lata obecne powinny stanowczo mieć więcej niż 12 miesięcy. Dwanaście, to za mało dla nas. Za mało — bo trzeba odrabiać nie tylko stracone lata studiów, lecz tyle jeszcze innych spraw. Bo człowiek to nie maszyna do wchłaniania pewnej dawki formuł technicznych. Człowiek żyje!

—Nie bójmy się więc oddać temu doganianiu naszego życia miesięcy wakacyjnych. Są one i tak odpoczynkiem, chociażby przez zmianę zajęcia czy otoczenia. Ale nie zapomnijmy o radości, o śmiechu. To istotne cechy wakacji.

wpo.

PITSFORD

MÓWIĄ, że o najpoważniejszych zagadnieniach można pisać wesoło a o najlepszej zabawie poważnie. Mając zaś do omówienia tak udaną imprezę, jaką był tegoroczny obóz Veritasowy w Pitsford Hall, łączący w należytym umiarze przyjemne z pożytecznym, muszę zastosować tak jedną jak i drugą metodę.

Najpierw słów parę co to jest Pitsford. — Parę mil na północ od Northampton w malowniczej okolicy, w starym „Hall’u“ angielskim, we wspaniałym parku polskie siostry Nazaretanki założyły internat i szkołę dla polskich dziewcząt (od 6 — 12 lat).

W czasie lata, gdy szkoła nieczynna, Siostry zamiast zażywać zasłużonego odpoczynku, biorą sobie na głowę inny kłopot: obozy letnie dla młodzieży, która sprawia z pewnością więcej kłopotu i rejwachu, aniżeli dzieci w ciągu roku szkolnego.

Tegoroczny obóz Veritas, który odbył się w Pitsford pomiędzy 29 lipca a 15 sierpnia, należy zaliczyć do jednej z najbardziej udanych imprez tego rodzaju.

Pierwsze trzy dni poświęcone były sprawam organizacyjnym, w tym okresie frekwencja dochodziła do osiemdziesięciu osób z różnych ośrodków (Londyn, Edynburg, Bristol, Oxford, Paryż — (Francja), Cork — (Irlandia), Nijmegen — (Holandia). Dano sprawozdanie z dotychczasowej działalności organizacji, omawiano sytuację bieżącą, snuto projekty na nadchodzący rok akademicki.

Druga część obozu nazwana „hucznie“ kursem ideologicznym, który obejmował cykl wykładów mających za cel przedstawienie istoty człowieka z punktu widzenia teologicznego, filozoficznego, psychologicznego i fizycznego. Wykłady na wysokim poziomie, wywoływały więc ożywione dyskusje nie tylko na sali, lecz były również, — o dziwo! — komentowane w czasie posiłków oraz na spacerach wśród pól okolicznych.

Na brak sportów i rozrywek nikt chyba nie mógł narzekać; siatkówka, koszykówka, kąpiel w pięknym basenie w ogrodzie zakładu, tenis, ping-pong, dla amatorów zaś... rąbanie drzewa pod fachowym, wytrawnym i doświadczonym kierownictwem X. St. Bełcha i zajęcia gospodarskie pod wodzą wyśmienitego kosiarza W Dłużewskiego.

Do pogłębienia bardzo miłej atmosfery obozowej przyczyniły się niemało wieczory towarzyskie połączone z potańcówkami i tak zwanym ...kabaretem (o tym ostatnim słów parę za chwilę).

Tak się w tym roku złożyło, że mogłem do Pitsford zajechać dopiero na ostatni week-end obozowy; z miejsca opadło mnie grono przyjaciół, dlaczego tak późno? coś robił? czy wiesz, że... on i. t.d., i t.d. pytaniom nie było końca .Obecność znajomków to rzecz naturalna, mnie jednak uderzyła wielka mnogość obcych w Veritasie „twarzy“. które — widać było — czuły się tutaj dobrze i były już przez te dwa tygodnie zżyte z naszym środowiskiem. Wkrótce i ja czułem się wśród nich dobrze, wspólnie recytując Mszę św., dyskutując po wykładach, goniąc za piłką, sprzeczając się przy stole, w końcu śmiejąc się „na kabarecie“.

„Kabaret“ czyli kolega Nowakowski, zabawiał towarzystwo obozowe swoim niefrasobliwym humorem i parodiowaniem, w formie wiązanej, wszystkich i wszystkiego,co się działo na obozie; kulminacyjnym występem było przerobienie fragmentów poszczególnych referatów, przyczym jako temat zamiast człowieka dano — kata. Głos i mimika poszczególnych referentów była tak dobrze podchwycona, że audytorium po prostu pokładało się ze śmiechu.

Aby nie być gołosłownym przytaczam niektóre urywki tekstu „Kabareta“, które chyba najlepiej scharakteryzują atmosferę Pitsfordu w okresie, gdy królowali tam Veritasowcy.

Na zakończenie muszę przytoczyć urywek „podsłuchanej“ rozmowy „obcych twarzy“ zaraz po powrocie do Londynu:

— Wiesz, projektowany jest wieczorek towarzyski dla Pitsforczyków?

— To świetnie! Z przyjemnością zobaczę jeszcze raz tę wesołą bandę!

... A ja wierzę, że cała ta wesoła banda“ już stale będzie się widywać na zebraniach Veritasowych.

Bogdan Korsak

TADEUSZ NOWAKOWSKI

Kabaret Pitsfordzki

Obóz letni zrobić w Pitsford
Zarządzono w Veritasie.
Jest tam spokój, jest tam klasztor,
Wszystkim nastrój spodoba się.

Co będziemy tam robili?
Zapytały liczne głoski.
— Właśnie program jest gotowy.
Referował Pan Czosnowski

Świtkiem pacierz i Msza święta,
Rano porydż — taka pora —
Później tomizm na wykładzie,
Dyskusyjka do wieczora. —
W międzyczasie obiad skromny.
Na organach będą grać.
Później spowiedź, żal za grzechy.
I pójdziemy wszyscy spać...

Na takie dictum acerbum Kabaretowy odpowiedział:

Jeśli chodzi o ten program,
Znalazłbym poprawek parę,
Mianowicie w międzyczasie
Chciałbym zrobić swój kabaret!??

Niczym upiór ciemnych myśli,
Albo grom z jasnego nieba —
Tak te słowa podziałały,
Że powtarzać nie potrzeba.

W Veritasie dwóch Rejtanów
Darło szaty, jeden konał,
Inni wodę na mnie lali
(A woda była... mrożona)

Sprawa wreszcie oparła się o „Księdza Rotmistrza“, przytym Kapelana i Asystenta:

Ksiądz wewnętrzną walkę stoczył
Później w niebo zwrócił oczy,
Brew swą zmarszczył, cicho szepnął:
„Różne dziwy są na świecie!
Daję zgodę na imprezę
I sam będę w kabarecie“.

Kabaret rozwijał się; na drzwiach wejściowych pitsfordzkiego teatru (w którym grano dotąd tylko jasełka) pojawił się zachęcający napis: „Dla młodzieży niedozwolone“. Na sali tłok, widzów dwa razy więcej, niż na wykładach.

Tadeusz Nowakowski

WYPRAWA POD PIRACKĄ BANDERĄ

HRABSTWO Norfolk u wschodniego wybrzeża Anglii słynie od wieków z dużej ilości wody. Kiedyś było jej jeszcze więcej: moczary, rozlewiska, błota. Ale to było bardzo dawno. Teraz wszystko jest uregulowane, zdrenowane — tak po angielsku ucywilizowane. Został tylko szereg jezior i kompleks rzek i kanałów, połączonych w idealny teren wakacyjny. Są też tu dobrzy ludzie, którzy za dobre pieniądze (oczywiście!) wynajmują amatorom jachty — duże, prawdziwe jachty, na których można spać, mieszkać, gotować jedzenie, pływać (o, przepraszam, żeglować), opalać się — słowem używać tych wszystkich roskoszy, jakie woda, pogoda i przyroda dać mogą.

W ten raj wody i żagli ruszyła wyprawa pod tajemniczą banderą „Wielkiego Pirata“. Bo wyprawa wiozła ze sobą jakąś tajemnicę. Już kiedy którejś lipcowej soboty roześmiana i rozkrzyczana siódemka napełniła gwarem spokój norfolckiej mieściny — było to trochę niezwykle. A śmiech grzmiał głośno i zabarwiał wszystkie siedem dni wyprawy. Było go pełno — i wtedy, kiedy przy pierwszym stawianiu żagli dziwnie plątały się liny a „bum“ za szybko stanowczo uciekł gdzieś za burtę. I zawiłe sploty „fałów“, „szotów“ czy „want“ nie były straszne, kiedy grot rozpierała pasja młodzieńczej radości. Radość niosła wyprawę, a hymnem jej był śmiech — nawet wtedy gdy rumpel trzeba było trzymać oburącz, a szoty „grota“ rwały skórę na dłoniach jak rozpalone żelazo.

Tradycje pirackiej bandery, co dumnie powiewała na maszcie, nakazywały walczyć, coś zdobywać zuchwałym abortażem. I flaga zuchwała miała w sobie coś symbolicznego.

Zdobycie umiejętności żeglarskich nie było rzeczą najważniejszą. Tak samo nie zwracano uwagi na spalone twarze i plecy. Nawet woda nie nęciła za bardzo swym chłodem. Coś innego rozbrzmiewało w pieśniach — a tyle poleciało ich nad wodę. Coś, co nakazywało załodze butnie chwytać wiatry, trzymać je w dłoni po prostu i, co więcej, zmusić je do posłuszeństwa: mknąć na nich. Coś, co kazało z dziwną ochotą szukać nocnych przygód w „pirackich“ wyprawach. Co krzyczało ustami wszystkich, gdy mierzono umiejętności żeglarskie w zawodach z innymi żeglarzami — i wygrywano zawody. Co wreszcie, wypełniało długie wieczory dyskusjami — i było więcej niż tylko „spędzeniem“ wakacji. Coś, co nadało im sens.

Butna i zuchwała była to wyprawa. Ruszyła po zdobycie czegoś, co rozproszyło się, zaginęło w dziesięcioleciu awantury. Może szukano beztroski, może radości, prawdziwej przyjaźni — a napewno samego siebie — i świata, co był, a którego niema. Radość była u początku wyprawy. Radość wypełniała siedem dni. Śmiechem zdobyli ją piraci dla siebie. Znaleźli beztroskę — piękną, radosną beztroskę czynu. Tę samą co zdało się zginęła bezpowrotnie. I znaleźli prawdziwą przyjaźń, ugruntowaną wspólnym życiem i wspólnym przeżyciem. I wynieśli myśl, że świat utracony istnieje.

Gdzieś na angielskich wodach wyciągamy w górę białe żagle — wyciągamy w górę naszą radosną młodość — niech wypełnią się wiatrem i niech płyną... SHIP AHOY!

„Flagowy“.

Z LISTÓW DO REDAKCJI ŻYCIA AKADEMICKIEGO

Wystawa prac całej szkoły

Szanowna Redakcjo
„ŻYCIA Akademickiego“

Jeżeli celem notatki „Po architekturze“ — (ŻYCIE z dn. 24.7.49.) było „wywołanie wilka z lasu“, to zdaje mi się, że cel został w zupełności osiągnięty.

Nie chciałbym być wilkiem, ale niewąsko zabolało mnie „mięso sercowe“ po przeczytaniu tak smutnej wzmianki.

Nie mówiąc już o błędzie zasadniczym, bo wspomniana wystawa jest wystawą całej szkoły, pracą wszystkich lat studiów, robionych czasami w naprawdę trudnych warunkach, po serii nieprzespanych nocy w rzeczywistym wysiłku utrzymania a nawet podniesienia poziomu szkoły i opinii o niej jeszcze w Liverpoolu.

Zwiedzający opisał swoje wrażenia i swoje oceny prac, musiał to być outsider, bo nie mógłbym posądzić o to żadnego studenta naszej szkoły.

Nie chciałbym nikogo urażać, ale wspomniana przez recenzenta praca „Centrum pielgrzymkowe“, nie jest pracą najlepszą (opinia moja i wielu kolegów) z prac dyplomowych, czyli uważając ją za taką (t.j. najlepszą) obniżacie Panowie poziom Szkoły. Lubię projektodawcę, ale dobro szkoły jest ważniejsze w tym wypadku.

Myślę, że rozumiemy się. Dlatego prosiłbym o sprostowanie, że Wystawa Pol. Szk. Arch. jest wystawą prac WSZYSTKICH STUDENTÓW, a nie jak błędnie podano Absolwentów wspomnianej Szkoły.

Z życzeniami dalszej i owocnej pracy

i poważaniem

Z. Sawicki

I. M. BOCHEŃSKI O. P.

ABC TOMIZMU (2)

II. Pluralizm tomistyczny

11. Pluralizm tomistyczny uczy, że rzeczywistość składa się z wielu bytów, realnie od siebie różnych, choć powiązanych przez rozliczne stosunki; że ta wielość bytów. rzeczy, przedmiotów, zjawisk, nie jest dziełem naszej myśli, ale istnieje niezależnie od niej; że różnorakie zjawiska występujące w przyrodzie, nie są przejawami jednej rzeczy, jednego bytu, ale naprawdę różnymi bytami. Tomistyczny pluralizm odrzuca jako błąd pogląd monistów, którzy sądzą, że cały świat jest jednym bytem, oraz panteistów, którzy utożsamiają świat z Bogiem, głosząc, że wszystko inne jest tylko przejawem Boga.

Tomizm nie przeczy więc względnej jedności świata, gdyż stwierdza, że wszystkie rzeczy i zjawiska występujące w świecie są wzajemnie powiązane; uczy natomiast, że mimo tego powiązania, mimo ścisłej nieraz wzajemnej zależności, rzeczy jakie spotykamy w rzeczywistości są naprawdę różnymi — przynajmniej niektóre z nich. Ten pluralizm jest dalszym zastosowaniem realizmu — tomizm uczy mianowicie, że to, co poznajemy jako mnogość bytów, nie jest złudą, że poznanie nasze nie tworzy mnogości w świecie, ale ją w nim znajduje i odkrywa.

12. Pluralizm tomistyczny uczy, że wszystko co rzeczywiste jest zawsze i **bez wyjątku jednostkowe**, konkretne, a nie ogólne; że ogólne treści istnieją tylko w myśli ludzkiej, a nie w rzeczywistości, gdzie każda treść jest ściśle indywidualna. Zarazem jednak pluralizm tomistyczny uczy, że ogólne pojęcia, jakie człowiek posiada, przedstawiają treści naprawdę istniejące w rzeczywistych bytach, że umysł ludzki tych treści nie tworzy, ale jedynie tworzy ich ogólność. Pluralizm tomistyczny odrzuca jako błędne nauki platoników, którzy uznają istnienie bytów ogólnych; poglądy konceptualistów, którzy sądzą, że naszym ogólnym pojęciom nic nie odpowiada w rzeczywistości, a zwłaszcza niszczący możliwość wszelkiej nauki błąd nominalistów, którzy bez żadnej podstawy i wbrew oczywistości przeczą nawet istnieniu ogólnych pojęć w umyśle ludzkim.

Tomizm odróżnia w ogólnym pojęciu dwa składniki: jego treść i jego ogólność; treść pojęcia jest według tomistycznej nauki ta sama, co treść poznanej, rzeczywistej rzeczy; natomiast ogólność jest cechą swoistą pojęcia, której w rzeczach poza umysłem nie ma. Tomizm uczy jednak, że ta ogólność nie jest czystym tworem naszego umysłu, że umysł ludzki nie tworzy jej bez podstawy w rzeczach: w rzeczach bowiem znajdujemy pewne wspólne wielu przedmiotom cechy, które, choć tam są ściśle jednostkowe i konkretne, stanowią właśnie podstawę ogólności pojęć.

13. Pluralizm tomistyczny uczy, że wszystkie byty skończone, a więc wszystko co istnieje, poza jednym tylko Bogiem, złożone jest z czynników realnie od siebie różnych, których wzajemny stosunek jest stosunkiem aktu do możności to jest czynnika określającego do czynnika określonego, treści do podmiotu, który tę treść posiada. Tomistyczny pluralizm uczy, że te czynniki, choć istnieją rzeczywiście i są wzajemnie różne realnie, nie są rzeczami, ale składnikami rzeczy, tak, że w zasadzie nie mogą istnieć jedne bez drugich. Tomistyczny pluralizm odrzuca więc pogląd tych, którzy sądzą, że rozmaite składniki bytów są tworem naszego umysłu, nie istniejącym w rzeczywistości, że te składniki nie różnią się od siebie realnie. Odrzuca także jako powierzchowny i fałszywy pogląd tych, którzy głoszą, że rzeczywistość składa się tylko z rzeczy, mechanicznie jedne z drugimi zestawionych.

Nauka o akcie i możności jest najważniejszą, najbardziej podstawową nauką filozofii tomistycznej, na której wszystkie nauki tej filozofii się opierają. Akt i możność przejawiają się według niej dwojako: w porządku dynamicznym, w porządku ruchu, zmiany i stawania się — oraz w porządku bytu, w porządku tego, co już jest.

W porządku dynamicznym byt, który podlega ruchowi, zmianie, który się czymś staje, jest w stosunku do tego czegoś, czym się staje, w możności; naprzykład dziecko rosnące jest w stosunku do dorosłego człowieka w możności, a pociąg jadący do miasta, jest w stosunku do postoju w tym mieście w możności, bo może, ma rzeczywiście możność, zdolność osiągnięcia celu, który jest jego aktem. Istota ludzka 30-letnia jest więc dorosłym człowiekiem w akcie, a 5-letnie dziecko dorosłym człowiekiem w możności; pociąg, który dojechał do miasta, jest w tym mieście w akcie, ale pociąg w drodze do tego miasta jest w tym mieście w możności. Ta możność nie jest jednak niczym: jest składnikiem bytu, jest pewną rzeczywistością, choć rzeczywistością zmniejszoną.

W porządku statycznym istnieje podobna dwoistość aktu i możności: a mianowicie akt jest tym, co nadaje danemu bytowi treść, formę, doskonałość, pełnię; możność zaś jest podmiotem tego aktu. Tak na przykład umysł człowieka, który zna matematykę, jest możnością, a sama sprawność matematyczna jest jego aktem; twardość diamentu jest aktem diamentu.

Tomizm uczy odnośnie do aktu i możności dwuch prawd: po pierwsze, że wszystkie byty skończone są złożone z aktu i możności — Bóg sam jeden jest aktem czystym; po drugie, że akt różni się od możności rzeczowo, że ich odróżnienie nie jest dziełem myśli ludzkiej, ale istnieje niezależnie od niej w bycie.

14. Pluralizm tomistyczny uczy, że każdy byt skończony, a więc wszystko, co istnieje poza samym tylko Bogiem, złożone jest z istoty, to jest z tego czym dany byt jest i z istnienia, to jest z tego, co sprawia, że dany byt jest i istnieje; że stosunek istnienia do istoty jest stosunkiem aktu do możności; że w każdym bycie skończonym istnienie różni się rzeczowo od istoty, że byt taki może istnienie stracić, może przestać istnieć, że więc jest bytem niekoniecznym, względnym. Pluralizm tomistyczny odrzuca jako błąd poglądy tych, którzy przeczą realnej różnicy między istnieniem a istotą w stworzeniach i uczy, że w jednym tylko Bogu tej różnicy nie ma.

Tomizm nie twierdzi, by istota i istnienie były dwoma rzeczami, podobnymi do dwuch brył przyłożonych jedna do drugiej; istnienie pojmuje natomiast jako akt, jako doskonałość istoty. Tomizm nie uczy także, by istnienie można było od istoty tak oddzielić, by każde z nich istniało samo w sobie i twierdzi, że taki pomysł jest nonsensem. Uczy jednak, że w rzeczy istniejącej istnienie nie jest tym samym co istota, że te czynniki są realnie różne, że to nie nasza myśl tylko je odróżnia, ale że różnica między nimi zachodzi poza myślą ludzką i niezależnie od niej.

15. Pluralizm tomistyczny uczy, że poza złożeniem z istnienia i istoty, sama istota rzeczy skończonych złożona jest jeszcze w inny sposób, a mianowicie z substancji, podmiotu, oraz przypadłości, cech, właściwości, przymiotów, które ten podmiot, tą substancja posiada i które stanowią jej różnorakie wtórne akty. Tomizm uczy, że przypadłości dzielą się na absolutne, przysługujące jednej substancji, oraz na stosunki wiążące dwie lub więcej substancje między sobą; że przypadłości te, a w szczególności relacje, są nieraz rzeczywiste, istnieją niezależnie od myśli ludzkiej i poza nią jako akty realne, różne od substancji, której są aktami. Pluralizm tomistyczny odrzuca jako błędne uproszczenia i okaleczenia bogactwa bytu poglądy reistów, którzy uznają tylko substancje; poglądy fenomenistów, którzy widzą tylko przypadłości absolutne; poglądy relacjonistów, którzy wszelki byt sprowadzają do sieci relacji. Pluralizm tomistyczny uczy, że rzeczywistość nie da się w ten sposób uprościć, że stanowią ją różnorakie byty, niesprowadzalne do jednego tylko rodzaju.

Przez „substancję" tomizm nie rozumie niepoznawalnego i niezmiennego podmiotu, ale po prostu podmiot, to co w pełni jest, co istnieje samo w sobie, a nie jest tylko cechą, określeniem, przymiotem innego bytu; człowiek n.p. jest według nauki tomizmu substancją, ale gniew, albo ból zęba tego człowieka jest jego przypadłością, podobnie jak jego waga i barwa jego nosa. Ale te cechy nie są według tomistycznej nauki złudą: nie jest złudą waga danego człowieka ani jego gniew, ale istnieją niezależnie od tego, co ktokolwiek z ludzi mógłby o tym myśleć; istnieją one wprawdzie w substancji, jako jej określenia, cechy, przymioty, ale nie są z substancją identyczne, jak widać z faktu, że mogą w tej samej substancji zanikać. Należy jednak uważać, by nie rozumieć fałszywie pojęcia przypadłości, by nie pojmować jej jako rodzaju rzeczy, to jest dodatkowej substancji, nałożonej na pierwszą — bo przypadłość jest właśnie nie rzeczą, nie substancją, ale określeniem, przymiotem, cechą substancji.

Istnieje kilka kategorii, t.j. typów przypadłości, n. p. jakość, ilość i t. d.; najważniejszym jest jednak podział na przypadłości absolutne — takie jak gniew, barwa, wiedza, cnota, wysokość, i t.d. — oraz stosunki, relacje, istniejące między dwoma substancjami. Relacje mogą być niekiedy czysto fikcyjne, ale w wielu wypadkach są czymś zupełnie rzeczywistym, istnieją poza umysłem ludzkim i niezależnie od niego. Tak n.p., nawet gdyby nikt nie wiedział, że Jan jest bratem Pawła i nikt o tym nie myślał, pozostałoby faktem, że Jan jest jego bratem; a ten fakt jest według nauki tomizmu pewną rzeczywistością, pewnym bytem, a mianowicie przypadłością, wiążącą obie substancje.

16. Pluralizm tomistyczny uczy, że to co jest, że byt, a więc akt, idzie logicznie i rzeczowo przed tym co nie jest, przed nie-bytem, przed możnością; że z niczego nic powstać nie może; że do przejścia z możności do aktu potrzebny jest byt będący już pod danym względem w akcie; że żadna istota skończona, a więc złożona z aktu i możności nie istnieje ani nie staje się bez przyczyny. Tomistyczny pluralizm odrzuca jako bezpodstawne poglądy irracjonalistów, według których istnieją byty bez żadnej racji, pogląd Kanta, według którego — przyczynowość występuje jedynie w świecie zjawiskowym, błędy idealistów, którzy sądzą, że przyczynowość jest tworem naszego umysłu. Pluralizm tomistyczny potępia jako groźne nieporozumienie zdanie tych, którzy głoszą, że ruch, że zmiana, a więc możność, idzie przed bytem, przed aktem i naucza, że w dziedzinie całego bytu bez wyjątku obowiązuje zasada: żaden byt nie jest w akcie inaczej jak przez byt w akcie.

Powyższa zasada pierwszeństwa aktu przed możnością, bytu przed niebytem jest konsekwencją realizmu tomistycznego, a w szczególności tezy 6., według której nie ma w świecie nic niezrozumiałego, ale wszelki byt jest w pełni racjonalny. Tomizm odrzuca przepoławianie bytu na dwie części, jedną jasną, w której obowiązują prawa, drugą ciemną, sprzeczną, chaotyczną. Tomizm uczy, że taka „ciemna" dziedzina jest fantastycznym wymysłem filozofów i że o niej nawet z sensem myśleć ani mówić nie można, jako, że przedmiotem naszego umysłu jest tylko byt, a nie nie-byt.

Zasada pierwszeństwa aktu przed możnością nie ma nic wspólnego z jakąkolwiek teorią fizyki, dotyczy bowiem nie ruchu ciał, którym zajmuje się fizyka, ale przejściem z aktu do możności w całej jego rozciągłości. Nie znaczy ona więc, że w każdym wypadku, gdy coś porusza się z miejsca na miejsce, istnieje w świecie jakaś rzecz, która jest tego ruchu przyczyną w znaczeniu fizyki; uczy jedynie, że żadne nabywanie bytu, aktu, nie może zachodzić bez czegoś co już jest pod danym względem w akcie. Tomizm uczy, że przejście do aktu bez przyczyny w filozoficznym słowa znaczeniu, bez bytu w akcie, jest absurdem i że uznanie go stanowi ruinę realizmu, a co za tym idzie, ruinę wszelkiego poznania.

Zasada pierwszeństwa aktu przed możnością dotyczy jednak nie tylko zmiany, ruchu, przechodzenia do aktu, ale także istnienia bytów złożonych z aktu i możności, z istoty i istnienia. Tomizm uczy, że połączenie aktu z możnością nie ma podstawy, racji, uzasadnienia w samym bycie przez ich połączenie powstałym, że więc kto nie chce uciekać się do absurdu, kto uznaje racjonalność bytu, musi uznać, że takie połączenie aktu i możności jakie występuje we wszystkich bytach poza Bogiem musi mieć podstawę w bycie, będącym pod danym względem w akcie.

17. Pluralizm tomistyczny uczy, że każdy byt skończony posiada cztery rodzaje czynników składających się na jego rzeczywistość, a zwanych „przyczynami". Przyczynę celową, sprawczą, formalną i materialną. Tomistyczny pluralizm uczy, że każdy byt ma cel, że jego stawanie się ma określony kierunek, a jego istnienie określoną rację; że gdy coś się staje, wówczas istnieje zawsze czynnik powodujący to stawanie się, urzeczywistniający jego cel; że stawanie się polega na przybieraniu nowego aktu, nowej treści, nowej formy w najszerszym słowa znaczeniu, zwanej „przyczyną formalną"; że wreszcie forma musi być przyjęta w określonym podmiocie, podłożu, substracie, zwanym, „przyczyną materialną". Pluralizm tomistyczny odrzuca wszelkie uproszczenia rzeczywistości przez uznawanie tylko jednego albo dwuch spośród tych czynników; w szczególności potępia jako absurdalne poglądy mechanistów, przeczących przyczynie celowej i poglądy formalistów, sprowadzających wszystko do formy. Tomizm głosi, że rzeczywistość w tak ciasne ramy ująć się nie da i że nie można jej wytłumaczyć bez udziału czterech różnych przyczyn.

Przyczyna celowa i sprawcza są przyczynami zewnętrznymi, znajdującymi się poza bytem, którego są przyczynami; przyczyna materialna i formalna są przyczynami wewnętrznymi, znajdują się wewnątrz bytu samego. Według nauki tomizmu wyraz „przyczyna" jest więc wieloznaczny, analogiczny: bo, choć każda z przyczyn działa, działanie każdej z nich jest inne. Sama tylko przyczyna sprawcza, czynnik ruchu, działa w popularnym słowa znaczeniu; natomiast przyczyna celowa jest tym, co nadaje temu działaniu kierunek, a przyczyna formalna — treść, podczas, gdy przyczyna materialna, jako podłoże warunkuje i modyfikuje działanie innych przyczyn. Jasnym jest, że według nauki tomizmu porządek przyczyn jest następujący: na pierwszym miejscu stoi przyczyna celowa, następnie sprawcza, dalej formalna, w końcu materialna.

Rozróżnienie czterech przyczyn posiada w tomiźmie podstawowe znaczenie metodologiczne. Gdy pragniemy zrozumieć złożony byt — n.p. społeczeństwo — wypada rozróżnic w nim cel, przyczynę sprawczą, formę i materię.

Cztery przyczyny są w przyrodzie zawsze realnie różne; ta różnica realna nie występuje jednak we wszystkich bytach, istnieją bowiem byty skończone, w których nie ma realnej różnicy między przyczyną materialną a formalną.

18. Pluralizm tomistyczny uczy, że wyrażenia „byt", „rzeczywistość", „istnienie", „przyczyna" i tym podobne, oraz pojęcia przez te wyrażenia znaczone, nie są jednoznaczne, nie znaczą tego samego w Bogu i stworzeniu, w substancji i przypadłości, w różnych rodzajach przyczyn. Pluralizm tomistyczny uczy jednak, że wyrażenia te nie są czysto wieloznaczne, ale że znaczą treści stosunkowo, proporcjonalnie jednakowe, czyli, że są analogiczne. Pluralizm tomistyczny odrzuca poglądy tych, którzy chcą uprościć i jednostronnie ujednolicić obraz rzeczywistości przez jednoznaczność tych wyrazów i pojęć, a z drugiej strony błąd tych, którzy głoszą czystą wieloznaczność „bytu". „rzeczywistości", „istnienia" i podobnych wyrażeń. Pluralizm tomistyczny uczy, że rzeczywistość ta jest bogata w najróżnorodniejsze stopnie bytu, ale nie pozbawiona pewnych treści analogicznie wspólnych.

Nauka o analogii jest jedną z najważniejszych nauk tomizmu, w której świetle pluralistyczny charakter tej filozofii okazuje się najjaśniej. Według teorii analogii bowiem nie tylko istnieją w rzeczywistości najróżniejsze treści, rzeczywiście od siebie różne i hierachicznie uporządkowane, ale nawet samo istnienie ich nie jest jednakowe. Tak n.p. innym jest istnienie substancji niż istnienie jakości, a to znowu innym jest niż istnienie relacji. Substancja istnieje mianowicie w sobie, posiada istnienie pełne; natomiast istnienie przypadłości jest niczym innym, niż występowaniem w substancji, jest więc istnieniem wtórnym. mniej pełnym, zależnym od istnienia substancji.

Zarazem jednak teoria analogii, ucząc, że wymienione najogólniejsze treści są proporcjonalnie, stosunkowo, analogicznie jednakowe, umożliwia istnienie nauki o bycie wogóle, to jest ontologii, umożliwia istnienie logiki wogóle, a w szczególności umożliwia sensowne myślenie i mówienie o Bogu.

*

Taką jest w najogólniejszych zarysach, nauka pluralizmu tomistycznego. Wynika z niej całość innych nauk to-

mizmu i wiele bezpośrednich wniosków wielkiej wagi, z których wymienić należy tutaj tylko niektóre, szczególnie ważne ze względu na naukę o człowieku.

I tak, jeśli prawdą jest, że istnieje mnogość bytów, wielość substancji — człowiek jest napewno bytem samoistnym, a nie tylko przejawem, częścią czy funkcją większej całości.

Jeśli prawdą jest, że każdy byt jest konkretny, jednostkowy — wszystko co ogólne, co powszechne, jest wtórne w stosunku do tego co jednostkowe; społeczeństwo nie istnieje inaczej jak w jednostkach ludzkich, które są jego podstawą realną.

Jeśli prawdą jest, że wszelki byt skończony złożony jest z możności i aktu — żaden byt skończony nie jest bytem w pełni, żaden nie jest całkowicie stały, ruch i zmiana są prawem każdego stworzenia.

Jeśli prawdą jest, że każdy byt skończony posiada istnienie realnie różne od istoty, żaden byt taki nie jest konieczny, żaden nie istnieje w pełni, autonomicznie, niezależnie.

Jeśli prawdą jest, że akt idzie przed możnością, że akt doskonali możność, prawem bytu skończonego jest akcja, jest czyn, jest przechodzenie z możności do aktu, wyprowadzenie aktu z możności.

Jeśli prawdą jest, że istnieją realne stosunki — istnieć mogą rzeczywistości różne od człowieka w społeczeństwie, a nie będące substancjami; społeczeństwo niekoniecznie jest fikcją, choć nie jest substancją.

I.M. BOCHEŃSKI O.P.

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

PRÓBA STERRORYZOWANIA KLERU

14 sierpnia prasa komunistyczna w Polsce ogłosiła komunikat stwierdzający, że w dniach 8 i 9 sierpnia starostowie i prezydenci miast wezwali księży celem zaznajomienia ich z dekretem „o wolności sumienia". Na wezwanie przybyło 5.428 księży. Odmówiło przybycia 62 księży.

Z komunikatu wynika dalej, że księża ci zostali wezwani do prokuratorów, którzy zagrozili im wszczęciem postępowania karnego. Wobec tej groźby księża oświadczyli, że zgłoszą się do starostów.

Pozostaje wreszcie jeszcze pewna część księży, którzy nie zgłosili się do starostów „z przyczyn usprawiedliwionych", widocznie np. z powodu choroby. Księża ci zgłoszą się w terminie późniejszym.

Jak z tego widać, władze komunistyczne usiłują sterroryzować księży. Osiągnęły to, że księża musieli wysłuchać treści dekretu i komunistycznych „objaśnień", lecz z tego nie wynika, by się z treścią dekretu solidaryzowali. (CIP)

DWIE PARAFIE NA KSIĘDZA

We francuskej diecezji Belley (Francja połudn.-wschodn.) jest 443 parafii, a tylko 267 księży. Wobec tego, tylko starsi i niedołężni proboszczowie mają po jednej parafii, natomiast księża młodsi obsługują po trzy i cztery parafie na raz. Przeciętnie wypada w tej diecezji jeden ksiądz na dwie parafie.

Stan rzeczy w diecezji Belley ukazuje jaskrawo powszechne w całej Francji zjawisko niedoboru księży.

PRZEMYCONY LIST PASTERSKI

Rzymska agencja prasowa ARI donosi, że biskupi uniccy deportowani na Syberię, zdołali przemycić do kraju list pasterski, który obecnie cyrkuluje w odpisach wśród greckokatolickiej ludności.

Arcybiskup - metropolita lwowski obrządku greckiego, ks. Slipyj, przebywający w obozie w Workucie, w pobliżu Oceanu Lodowatego (obóz ten znany jest szerokiemu ogółowi Polaków z pięknej książki p. Rudzkiej „W domu niewoli"), przesyłał do kraju również inne listy.

J .E. KS. BISKUP BUCZYS W ANGLII

Przybył do Londynu superior Zgromadzenia Ojców Marianów, ks. biskup Buczys. Ks. Buczys jest Litwinem i liczy lat 77. Przed pierwszą wojną światową był wice-rektorem akademii duchownej w Petersburgu, a po wojnie rektorem uniwersytetu w Kownie.

Zgromadzenie OO. Marianów jest szczególnie silnie rozgałęzione na Litwie, na Inflantach i na polskich ziemiach północno-wschodnich, aczkolwiek znane było i w innych stronach Polski, a także w Ameryce i w innych krajach, nie wyłączając Anglii. Np. w Warszawie OO. Marianie prowadzili znane gimnazjum internatowe na Bielanach i kościół t. zw. litewski przy ul. Moniuszki 8.

W Londynie, na Finchley, istnieje Dom OO. Marianów, w którym jest też i kaplica obrządku bizantyjskiego, którą obsługuje Białorusin, ks. dr Sipowicz ze Zgr. OO. Marianów.

WIKARIUSZ GRECKO-KATOL. W. W. BRYTANII

Redemptorysta ks. Włodzimierz Malarczuk, mianowany został Wikarjuszem Generalnym grecko-katolickim na W.Brytanię. Greko-katolików i Ukraińców, głównie t. zw. EVW, jest w W. Brytanii ok. 35 000; mają oni 14 księży grecko-katolickich.

Księdza Malarczuka mianował ks. biskup Buczko, który jest grecko-katolickim wizytatorem apostolskim na Zachodnią Europę.

SPÓR PANI ROOSEVELT Z KARDYNAŁEM SPELLMANEM

W związku z uchwaloną przez amerykańską Izbę Reprezentantów nową ustawą o dodatkowym ogromnym funduszu — z podatkowych pieniędzy — na dodatkowe potrzeby szkolne (np. na posiłki w szkołach i na autobusy, dowożące dzieci do szkół), przyczym dzieci, uczęszczające do szkół katolickich mają być od dobrodziejstwa tego funduszu wyłączone, katolicy amerykańscy protestują od szeregu tygodni, że ustawa jest dla nich krzywdząca, każe im bowiem płacić nowy, duży podatek na cele, z których nie będą korzystać. W niektórych stanach, w których katolicy są szczególnie liczni, rzeczy w wyniku nowej ustawy wyglądać będą w ten sposób, że dzieci protestanckie, uczęszczające do szkół rządowych, otrzymywać będą śniadania, zeszyty a także i przewóz samochodowy za pieniądze, płacone w lwiej części przez katolików.

W dyskusji, jaka się w związku z tym wywiązała między Katolikami i protestantami, zabrała m. in. głos — w duchu jaskrawo antykatolickim — wdowa po prezydencie Roosevelcie. Wystąpienie jej podyktowane „antykatolickim uprzedzeniem" napiętnował ostro, w specjalnym liście katolicki arcybiskup New Yorku, ks. kardynał Spellman.

W tych dniach jednak, pani Roosevelt zdobyła się na krok pojednawczy. Ogłosiła ona oświadczenie, że nowe wypowiedzi ks. kard. Spellmana z których wynika, że katolicy amerykańscy nie domagają się subwencji dla swoich szkół, a tylko udziału w wydatkach na pomoce dodatkowe (śniadania, komunikacje itd.), „wyjaśniają sytuację i są sprawiedliwe".

Czy oznacza to jednak, że p. Roosevelt będzie odtąd popierać rozciągnięcie na katolików dobrodziejstw nowej ustawy — tego nie wiadomo.

KŁOPOTY KOŚCIOŁA ANGLIKAŃSKIEGO W LONDYNIE.

Kościół anglikański ma wielki kłopot ze swoimi 46 parafiami w londyńskiej „City", czyli we właściwym, dawnym mieście Londynie. „City", obejmujące powierzchnią około jednej mili kwadratowej, stało się dziś śródmieściem handlowym, w którym są tylko biura, banki i firmy, ale w którym prawie nie ma stałej ludności. W ciągu dnia przebywa w „City" stale milion ludzi, ale w nocy pozostaje z tego miliona tylko 10 tysięcy.

Kościół anglikański postanowił zreorganizować swój ustrój na terenie „City" w sposób następujący: 6 kościołów, zburzonych w czasie wojny, nie będzie odbudowanych, a place po nich zostaną sprzedane. 4 kościoły zostaną przeznaczone „na cele specjalne", 15 pozostanie nadal parafiami. Pozostałe 21 będą przekształcone na kościoły pomocnicze, w których nie będzie nabożeństw w niedzielę, ale za to będą nabożeństwa w przerwie obiadowej w dni powszednie i w ogóle będzie działalność duszpasterska obliczona na ludność, która w „City" w ciągu dnia pracuje.

Warto dodać, że również i kościoły katolickie w „City" coraz częściej urządzają w święta obowiązkowe, nie będące świętami urzędowymi, Msze święte w przerwie obiadowej. Tym sposobem katolicy pracujący w „City" mogą być w święta obowiązkowe na mszy, nie wstając rano wcześniej, niż w zwykłe dni powszednie.

Z NIEMIEC

Egzystencjaliści emigrują z Niemiec.

Dwaj byli w Niemczech wybitni przedstawiciele filozofii egzystencjalistycznej: prof. Jaspers w Heidelberg i prof. Martin Heidegger w Tübingen. Obaj są twórcami niemieckiej odmiany tego kierunku filozofii i obaj nie mieli możności utrzymania w Niemczech powojennych, więc zdecydowali się na emigrację. Prof. Jaspers uzyskał katerdę w Szwajcarii, zaś prof. Heidegger wyjedzie albo do Argentyny, albo do Włoch. W związku z tym cierpkie uwagi czyta się w niemieckiej prasie, słusznie uważającej ten exodus profesorów zarówno za dowód braku poczucia wspólnoty z narodem niemieckim, jak też za dowód zaniedbań państwa i społeczeństwa w dziedzinie obowiązków ochrony i opieki nad ludźmi nauki.

Niemiecka filozofia.

„Kölnische Rundschau" opublikował rozmowę z prof. von Rintelen o głównych kierunkach współczesnej filozofii niemieckiej, będącej sprawdzianem odżywania życia duchowego w Niemczech. Prof. v. Rintelen rozróżnia w tej dziedzinie cztery kierunki. Pierwszy kierunek występuje w tradycyjnej formie neokantyzmu, którego głównymi rzecznikami są Ebbinghaus i Litt. Kierunek drugi uprawia rodzaj kulturalnego historyzmu (v. Rothacker i Heimsoeth). Trzeci prąd duchowy zakorzeniony jest w ewangelicznych regionach, nawiązuje do postawy teologicznej i w G. Krüger'ze ma swego najwybitniejszego przedstawiciela. Wreszcie kierunek czwarty wychodzi z założenia, że człowiek może dojść do prawidłowego poznania nie w drodze spekulatywnej, ale na podstawie realistycznego obserwowania natury. Ten kierunek reprezentuje sam prof. v. Rintelen obok Nikolai Hartmann'a, Aloisa Wenzla i Steinbüchela. Kierunek egzystencjalistyczny reprezentują Jaspers i Heidegger. Do czołowych przedstawicieli duchowego życia Niemiec zalicza prof. Rintelen poza tym katolickiego teologa i filozofa Guardini, a wśród protestantów raczej Thielicke i Gotarten'a, a nie Barth'a.

KATOLICYZM, TAM GDZIE GO NIE WIDZIMY

dokończenie ze strony 3

dzenia się w jakichś nowych formach wyzysku. Są jednak ustroje gospodarcze, które mogą doprowadzić do kryzysów, niedoli i wyzysku, a są takie, które do nich doprowadzić **muszą**. Dlatego same formy ustrojowe nie są jeszcze gwarancją ich dobrego funkcjonowania, ale są takie formy, które napewno dobrze funkcjonować nie mogą, gdyż wypływają ze złego ducha i fałszywych doktryn, jak kapitalizm i komunizm.

Gwarancją dobrego funkcjonowania ustroju nie mogą być jednak tylko „instytucje", czyli formy organizacyjne. Nie chodzi przecież, jak to się niektórym ludziom wydaje, o kompromis czy zlepek zaleceń obu bankrutujących kierunków, lecz chodzi o **syntezę** wolności i związania obowiązkiem moralnym, która musi się opierać o coś więcej niż same instytucje ludzkie. Tylko wtedy będzie syntezą prawdziwą, a nie zlepkiem.

Nie bądźmy przesadnymi optymistami, nie przepowiadajmy łatwych triumfów s y n t e z y. Ale nie zapominajmy o tym, że świat miotany między skrajnościami tej syntezy szukać musi, bo takie jest jego przeznaczenie. Skrajności są tylko objawami niepokoju poszukiwania, a rozkosz i triumf znalezienia bywa nagrodą za udręki poszukiwań.

Wojciech Zaleski

NOTATKI MUZYCZNE

W niedzielę 21 sierpnia rozpoczął się w Edynburgu trzeci doroczny festiwal muzyczny, trwający trzy tygodnie. W 1946 r. Rudolf Bing, mimo trudności, urządził na wzór salzburski festiwal poświęcony głównie muzyce, ale obejmujący również teteatr i film. Festiwal stał się obecnie instytucją narodową i W. Brytania niechętnie żegna w tym roku Binga, który odjeżdża, aby objąć Metropolitan Opera w Nowym Yorku.

Przez trzy tygodnie najlepsi muzycy będą się dzielić swą sztuką z Edynburgczykami i tysiącami cudzoziemców z wszystkich stron świata. Na festiwal przybyli krytycy z tak dalekich krajów jak Japonia i Nowa Zelandia.

Dla tych, którzy nie będą w Edynburgu w tym czasie, BBC będzie nadawać większość koncertów. Zainteresowanym radzę specjalnie posłuchać Adolfa Buscha i Rudolfa Serkina, (niedziela 4 września), oraz Suggię, wspaniałą wiolonczelistkę. Z poszczególnych utworów rekomenduję drugi kwartet smyczkowy Bartoka, dziwny, ale piękny utwór oraz „Cosi fan tutte", zadziwiająco mało znaną operę Mozarta, znakomicie wystawioną parę lat przed wojną w Poznaniu przez Janowską-Kopczyńską (matka świetnej diseusy Toli Korian).

*

Do Anglii znów zawitał polski pianista, Stanisław Niedzielski. Niedzielski objedzie z koncertami W. Brytanię, ale dokładne miejsca daty nie są jeszcze ustalone.

Jako ciekawostkę wspomnę, że Niedzielski wozi wszędzie ze sobą na przyczepce swój fortepian.

*

Dla Chopinowców w Londynie: 7 i 14 września Turczyński da dwa recitale Chopinowskie, a 24 września, również w Wigmore Hallu, odbędzie się recital Ireny Scharrer.

Oboje są bardzo dobrymi pianistami. Turczyński jest autorytetem chopinowskim, ale ma tendencję do trochę nierównego grania. Trzeba jednak zaznaczyć, że w zeszłym roku był w dobrej formie artystycznej.

*

55-ty sezon Promenade Concerts w Albert Hallu jest sukcesem. Orkiestry, zazwyczaj niewystarczająco przygotowane, grają jakoś lepiej w tym roku. Program, jak zwykle bardzo mieszany, jednak nie mniej jak jedenaście nowych utworów, głównie kompozytorów angielskich było lub jeszcze będzie przedstawionych słuchaczom.

Chciałbym zwrócić uwagę na dwa utwory- 12 września BBC Symphony Orchestra odegra „Masońską muzykę pogrzebową" Mozarta, który, jak wiadomo dał się zaplątać w to towarzystwo. Jest to mało znany, ale piękny utwór. Niedoceniany też jest, mam wrażenie, „Psalmus Hungaricus" Kodalyégo (13 września).

Dla zainteresowanych: wszystkie koncerty nadawane są przez radio.

*

Beniamino Gigli, prawdziwy syn Italii, przybywa do W.Brytanii. Śpiewak ten cieszy się prawdopodobnie większym powodzeniem wśród polskiej emigracji niż jakikolwiek inny. W Londynie Gigli da dwa koncerty: 2 i 9 października w Albert Hallu. Inne miejsca nie zostały jeszcze ustalone.

Oratorium Händla „Mesjasz", jeden z bardzo licznych „ósmych cudów świata", cierpi na zmianę tradycji: dotychczas wykonywany był dwa razy do roku: w W. Tygodniu i około Bożego Narodzenia. Ale oto Henry Wood Concert Society z potężnym, tysiąc-głosowym chórem wykona to wspaniałe arcydzieło w Albert Hallu dnia 2 listopada.

Wielka okazja dla miłośników muzyki: wizyta Wiedeńskiej Orkiestry Filharmonicznej, pod batutami Brunona Waltera i wielkiego Wilhelma Furtwanglera. Solistą będzie Yehudi Menuhin. Orkiestra da pięć koncertów w Albert Hallu między 28 września i 6 października. Program klasyczny, usłyszymy głównie starych mistrzów.

Inny za to program przyniesie trzeci sezon New Era Concert Society, również w Albert Hallu, zaczynający się 11 października. Odegrane zostaną utwory głównie nowoczesnych kompozytorów. Z zaciekawieniem czekam na trzeci koncert Bartoka. Solistą będzie jego uczeń, Sandor.(8 listopad).

*

Parę słów o Polskim Chórze Akademickim: Jeżeli piszę o nim na samym końcu, to nie dlatego, żebym chciał go zbyć! Przeciwnie, bo chcę położyć na nim specjalny nacisk. Chór ten zasługuje na specjalną pochwałę, jeżeli narazie jeszcze nie za poziom wykonania, to jednak za chwalebną i odważną inicjatywę. Bardziej niżeli wieców politycznych, potrzeba nam, dla utrzymania kultury polskiej, więcej właśnie takich chórów.

Obecnie chór przygotowuje na jesień festiwal polskiej pieśni. Kto będzie śmiał zaprzeczyć potrzebie takiej inicjatywy. Chór odczuwa szczególny brak basów. Jeżeli to piszę, to nie tylko w celu informacji: Jest to apel do wszystkich Polaków w Londynie, którzy mają głos, nie tylko do basów! Do wszystkich. A więc: Do głosu wszyscy, którzy macie głos!

J. Hierowski

ŻYCIE KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO - KULTURALNY
Wydawca:
VERITAS FOUNDATION PUBLICATION CENTRE
Adres redakcji i administracji:
POLISH WEEKLY „ŻYCIE" — 12, Praed Mews, London, W.2
Telefony: Redakcja i Administracja — AMB 6879. Drukarnia PAD 9734
Redaktor przyjmuje: po uprzednim telefonicznym porozumieniu.
we wtorki, środy, czwartki i piątki TYLKO od godz. 16 — 17
Administracja czynna: **codziennie** od godz. 9 do 13 i od godz 14 — 17 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt.
Prenumerata: płatna jest z góry i wynosi miesięcznie 3/6, kwartalnie 10/-
Wszelkie wpłaty: przekazywać należy Postal — lub Money orderami wzgl. czekami bankowymi „crossed" i wystawionymi na **VERITAS FOUNDATION PUBLICATION CENTRE. Ceny ogłoszeń:** 1 cal przez 1 łam £ 1. W tekście 50% drożej, na stronie tytułowej 100% drożej. Za treść ogłoszeń nie przyjmuje się odpowiedzialności. **Do zbierania ogłoszeń upoważniona jest wyłącznie:** f-ma THE CARLTON BERRY CO LTD., Grand Buildings-Trafalgar Square, London, W.C.2. Telefon ABB 5108.
Printed by: „Veritas Foundation Press"
12, Praed Mews, London. W.2. Tel. PAD. 9734.